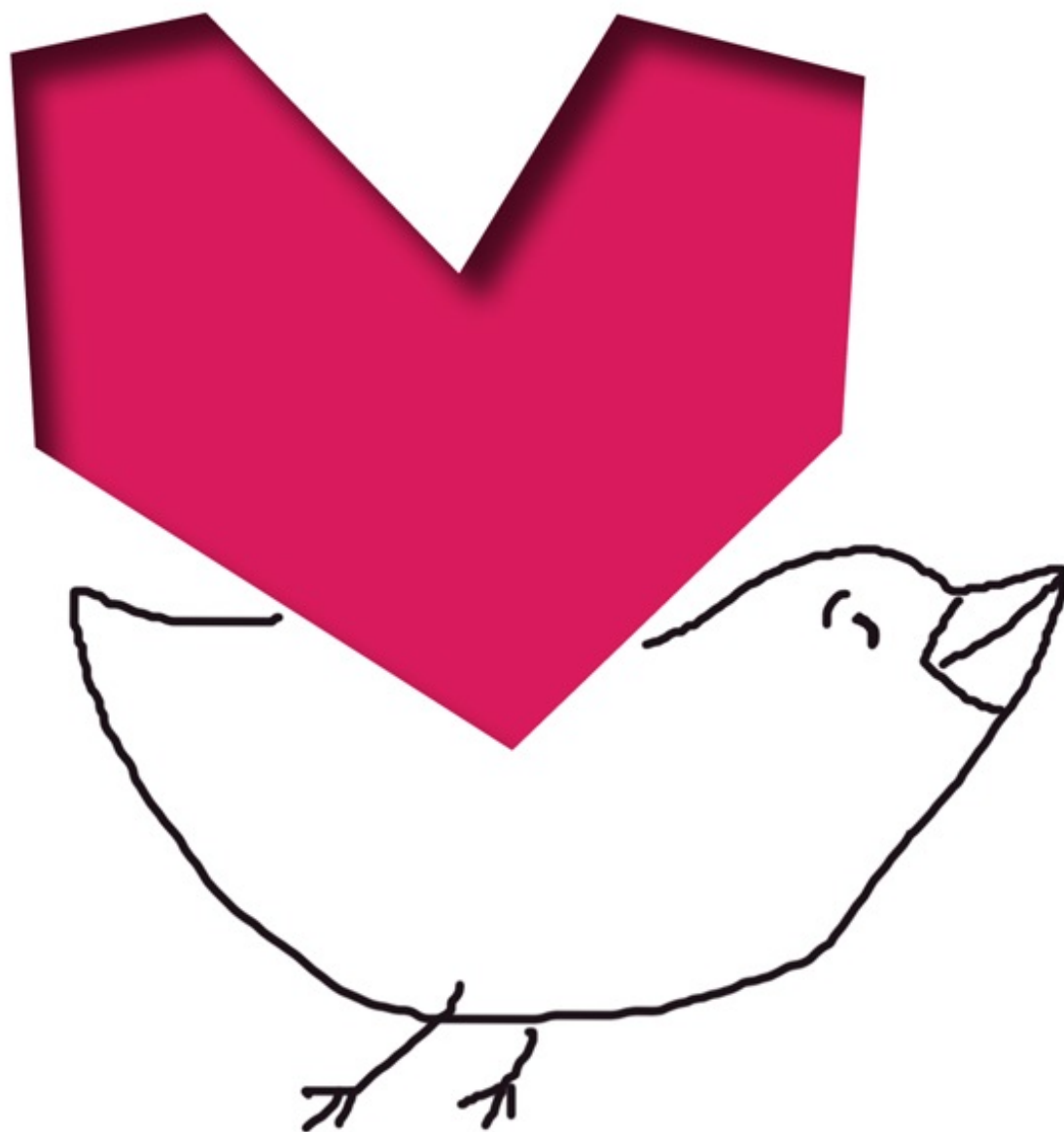


**MARIUSZ SZCZYGIEŁ**

**Láska nebeská**



**MARIUSZ**  
**SZCZYGIEŁ**  
**Láska nebeská**

ze zdjęciami  
Františka Dostala

WARSZAWA 2012



# Spis treści

CZEŚĆ 1. CAŁKIEM ZWYCZAJNY POWSZEDNI DZIEŃ

CZEŚĆ 2. CO KRYŁ PRZED POLAKAMI BUFETOWY Z BORÓWKOWEJ GÓRY

O tym, jak mąż pani Vondráčkovej nikogo nie obsługiwał

O tym, że życie można przeżyć jak święto

O tym, jak przeżyć, nie wymiotując

O tym, że lepiej nie szwejkować, zwłaszcza po śmierci

O myślach narodu czeskiego

O tym, jak Havla lubiły wszy

O amalgamatach, czyli czeskich Tatrach

O donosach z rajdu

O urnie w kredensie

O szokującym syndromie kochanków

O gospodzie pełnej idiotów

O kurczaku à la Havel

O życiu w bajce

O symulacji grzeczności

O pomyłce w felietonie „O bajce”

O czułości i butach

O hemoroidach w kulturze literackiej

O mężczyznach z grupy C

O samozaspokojeniu

CZEŚĆ 3. ŚWIRUS NIEZŁOMNY

CZEŚĆ 4. HAMBURGER Z KRWIA KAFKI

CZEŚĆ 5. FAŁSZYWA POLEDWICA\*)

Odłona 1: Jára Cimrman we mgle

Odłona 2: Jára Cimrman w realu

Metryczka książki



## CZEŚĆ 1

# CAŁKIEM ZWYCZAJNY POWSZEDNI DZIEŃ



*Pierwsza zwrotka kończy się frazą, że ten zwyczajny dzień w tym bajkowym mieście więcej czaru ma niż piękny sen*

**B**yło to wiosną 2000 roku i wszystko, co przeżywałem w Pradze, było po raz pierwszy. Także pierwszy koncert jazzowy, w klubie U Staré Paní, gdzie z recitalem wystąpiła prawdziwa stara pani – Vlasta Průchová. Miała wtedy 74 lata, zmarła sześć lat później. Śpiewała głosem Murzyna z Nowego Orleanu, ale subtelnie. W jej głosie słychać było całe jej życie. Kiedy zaśpiewała „Cry Me a River”, postanowiłem, że wykonanie tej piosenki przez wokalistę przed siedemdziesiątką od tego momentu będę uznawał za przestępstwo (Michaela Bublę i Dianę Krall już trzymam w moim więzieniu). Powiedziała mi (trzy lata później, gdy już mówiłem po czesku), że jej głos brzmi tak od papierosów.

– A dużo pani paliła? – spytałem głupio, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. Skoro od papierosów, to musiała dużo palić.

– W ogóle nie paliłam – odparła. – To od papierosów, których nigdy nie paliłam. Śpiewałam w strasznie zadymionych klubach w Chicago.

U Staré Paní wykonała jeden z niewielu oryginalnych czeskich swingowych kawałków – „Docela všední obyčejný den” (Całkiem powszedni zwyczajny dzień), który wpadł mi od razu w ucho. Piosenka opowiada o nastroju miasta o wpół do szóstej wieczorem, kiedy zaczynają świecić neony, a pierwsza zwrotka kończy się frazą, że ten zwyczajny dzień w tym bajkowym mieście więcej czaru ma niż piękny sen.

I właśnie o tym są zdjęcia Františka Dostala.

Mały album z jego zdjęciami był pierwszą książką, którą kupiłem w Czechach (fotograficzną, bo nie znałem języka). Miał tytuł „Praha zezadu”, czyli „Praga od tyłu”

Fotograf Dostal jest w wieku moich rodziców, urodził się w 1938 r., był mistrzem kraju w skoku wzwyż (1954), nie skończył żadnej szkoły fotograficznej i jak podkreśla – był dzieckiem ulicy. Do emerytury pracował jako konstruktor tokarek.

Ponieważ polscy czytelnicy nie mieli z jego zdjęciami do czynienia, pomyślałem, że idealnie wpiszą się w moje teksty oraz że są najlepszą ilustracją nastroju, w który może nas wprowadzić brzmienie dwóch słów z tytułu tej książki. A ponieważ nie znam bliżej pana Dostala – widzieliśmy się tylko raz na targach książki w Pradze – poprosiłem, żeby dokończył kilka rozpoczętych zdań.

Dokończył, a ja cytuję bez poprawek:

– Kiedy idę po ulicy...

– ...uważam, że bym nie wdepnął w psie łajno. Ale i tak bardziej przyglądam się ludziom, którzy chcieliby gdzieś znaleźć złoty skarb. Tylko że ci ludzie szukają skarbu po przeciwnej stronie wzgórza niż ta, po której to złoto naprawdę jest. Za pomocą aparatu łapię tylko przelotne chwile, dlatego że są one, w przeciwieństwie do wszystkich kosztownych rzeczy, najpiękniejsze na świecie. Przyglądam się na przykład mężczyźnie, który w jednej ręce trzyma laptopa, w drugiej niesie arbuza i chce sobie kupić gazetę. Wtedy czekam na swój moment, na to, co ten człowiek zrobi z arbuzem...



– Bez śmiechu nie ma...

– ...życia. To właśnie on jest w stanie zastąpić nawet lekarstwa zapisane przez lekarza. Człowiek jest w o wiele lepszym położeniu, gdy siedzi w drewnianej ruderze, w której się wszyscy śmieją, niż gdy tkwi w trzypiętrowej willi, w której wszyscy płaczą. Szczery śmiech jest też więcej wart niż wszelkie gadanie o demokracji. Dlatego że śmiech sprawia, że człowiek jest o wiele bardziej wolny. Poza tym śmiech jest naszym oparciem i daje nam przewagę nad głupotą. Człowiek, który potrafi się śmiać również sam z siebie, jest w jeszcze lepszej sytuacji.

– Kiedyś ludzie...

– ...tak się nie spieszyli i mieli dla siebie więcej czasu. Brak pośpiechu się celebrowało, a gdy ludzie mijali się na ulicy, umieli się jeszcze sobie kłaniać. Wyszukuję to, co było kiedyś, i cieszę się z radości odkrywania tych przelotnych, ale pięknych i wesołych chwil, które próbuję na obrazkach przekazać innym. Człowiek wcale nie musi przeżywać wielkich rzeczy.



Wystarczy obserwować świat wokół siebie oraz nauczyć się cierpliwości i pokory. W końcu pokora jest kluczem do świata. Zarówno kiedyś, jak i dziś, pośród palącej aktualności.

– Dziś...

– ...obudziłem się, a przez okno do mojego pokoju napływało świeże powietrze po nocnym deszczu. Chciałbym, żeby „dziś” było też jutro, pojutrze, a nawet i za pięć lat. Bowiem szacunek do życia narasta we mnie do ogromnych rozmiarów i wprawia mnie w nieprawdopodobne zdumienie. Potrafi mnie nawet wygonić na ulicę, abym też ja sam, na swojej własnej skórze, poczuł kolejne krople deszczu...

– Życie jest...

– ...darem, a czasem jest nie najlepszą wizytówką człowieka. Wtedy gdy tego życia nie szanuje. Swoimi zwyczajnymi obrazkami staram się zwracać do ludzi: „Ludzie, zatrzymajcie się! Przecież to jesteście wy, to wy się tak zachowujecie, to wy uganiacie się za czymś nieważnym. Ja chcę wam tylko sprawić radość”. Świat i życie wokół nas nigdy nie będą doskonałe, tak samo jak człowiek, ale również drobiazgami można to ulepszać. Również pomimo, że jesteśmy nieustannie karmieni idiotyzmami i przygłupią reklamą, która zdoła ukatrupić nawet prawdę. Zdoła nawet zgładzić samo życie, gdy człowiek w samochodzie rozbije się o przydrożny billboard. Wychowałem się na ulicy i mam nadzieję, że za bardzo nie filozofuję, ale tak to czuję. Czasami z tego powodu nie jest mi do śmiechu, ale tak już wygląda to nieszczęsne życie. Czasami bywa pieskie. Choć właściwie pies nie zawsze jest taki zły...

## CZEŚĆ 2

# Co ukrył przed Polakami bufetowy z Borówkowej Góry



*Z książek zapamiętuję tylko pojedyncze zdania i potem zaczynają one żyć w mojej głowie już własnym życiem*

**W**ubiegłą sobotę pan Zdeněk Strnadel z Šumperku, korzystając z pięknej pogody, wyprawił się w Góry Złote, gdzie na szczycie Borówkowej Góry wszedł do wieży widokowej, skąd rozpościera się widok na polską i czeską stronę. Obok wieży, już na terytorium Czech, znajduje się bufet, dalej tablica upamiętniająca Solidarność Polsko-Czeską i księdza z pobliskiego Gierałtowa, który Solidarność popierał. W bufecie płaci się złotymi i koronami, a na ścianie widnieją cytaty w obu językach. Bufetowy Czech każdego dnia aktualizuje informację, kto ma dziś w Czechach i Polsce imieniny.

Ponieważ pan Zdeněk był tam już któryś raz, w ostatnią sobotę bufetowy zaprosił go na zaplecze i pokazał tablicę z dwujęzycznym napisem, którą na wielokrotne prośby polskich turystów musiał ściągnąć ze ściany i schować.

Pan Zdeněk Strnadel spytał mnie w mailu, czy chcę znać treść tego napisu. Jeśli potwierdzę, że jestem gotowy dowiedzieć się, co tak przeraża moich rodaków, to może mi przysłać.

Nie mogłem doczekać się ujawnienia, coż Polacy chcą ukryć sami przed sobą.

Następnego dnia pan Zdeněk przysłał mi treść napisu (Państwo jeszcze mają szansę, żeby odłożyć ten felieton i nie czytać).



Jeśli jesteście gotowi, to cytuję: „DOPÓKI ŻYJESZ, JEDZ I PIJ. PO ŚMIERCI JUŻ NIE BĘDZIESZ MIEĆ ŻADNEJ RADOŚCI”

Szukałem takiej właśnie sceny czy anegdoty, która oddawałaby ducha czeskiej literatury. Może nieprecyzyjnie się wyraziłem. Literatura czeska to przecież i literatura psychologiczna, i metafizyczna, i wypoczynkowa, i patriotyczna, i eksperymentalna, i katolicka nawet. Trudno bez lęku przed wykształconymi bohemistami w dwóch zdaniach nazwać jej ducha. Powiem więc inaczej: szukałem czegoś, co oddałoby ducha czeskiej literatury – tak jak go czują Polacy. Obrazka, który zawarłby to, czego w książkach naszych sąsiadów łakniemy.

I pan Zdeněk bardzo mi ułatwił zadanie.

Literatura czeska kocha szczegół, życie i zwykłego człowieka. Uszlachetnia zwyczajne. Hrabal w „Obsługiwałem angielskiego króla” opisuje niejakiego Tondę, który zziębniętym na mrozie przekupkom niesie z hotelu gorące flaczki w garnku. Pisze o nim, że niesie garnek w taki sposób, jakby niósł w tych flaczkach własne serce. „Ludzkie serce we flaczkach, posiekane i przyrządzone na cebulce z papryką”

À propos serca, to u Oty Paula w „Śmierci pięknych saren” nad Potokiem Skrzywańskim mieszkał emerytowany gajowy pan Karol Kalous, który miał serce tak dobre, że nikomu go nigdy nie okazywał.

Wracając do napisu ukrytego za barem. To wysysanie uroku z pospolitości życia, widoczne zarówno w czeskiej literaturze, jak i filmie, musi mieć – moim zdaniem – źródło w braku Boga i braku perspektywy wiecznej.

Mamy jedno życie, pozagrobowego nie będzie, więc trzeba je maksymalnie wyzyskać i docenić. Wydaje mi się, że to właśnie w czeskiej literaturze lubią Polacy.

Wiem, może to zbyt uogólnienie. Ale nawet Kafka nie umykał przed uogólnieniami, wyznając na przykład: „Lubię Amerykanów, bo są zdrowi i optymistyczni”. Bez uogólnień, proszę Państwa, nasze życie byłoby życiem na bagnie.

Powtórzę więc, że literatura czeska jest o tym, co schował bufetowy z Borówkowej Góry.

We wspomnianej książce „Obsługiwałem angielskiego króla” poznajemy złotą zasadę przetrwania. Po pierwsze – nic nie widziałeś i nic nie słyszałeś, po drugie – wszystko widziałeś i wszystko słyszałeś. To powieść o sposobie na przeżycie, innym niż sposób polski. A zarazem jedna z najodważniejszych i najbardziej szczerych czeskich książek. Bo jest o tym – jak w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” stwierdził Jiří Menzel, który sfilmował powieść – że sławy nie przynosi Czechom to, że gdzieś panowali. Sławę przynosi im to, że komuś usługiwali.

Literatura czeska ma jeszcze jedną właściwość, która mi imponuje: szczerść i odwagę w pokazywaniu narodu czeskiego z niezbyt chlubnej strony. Zawsze zastanawiam się, czy odwaga Gombrowicza nie była aby odwagą stricte argentyńską. Czy starczyłoby mu jej, gdyby o swoim „drugorzędnym narodzie” pisał i drukował w Warszawie? Czeskich pisarzy o gombrowiczowskiej odwadze drwienia było wielu. Jednak drwili, pozostając na miejscu, narażeni na konsekwencje.

Inna rozprawa o konformizmie, „Palacz zwłok” – powieść Ladislava Fuksa z 1967 roku – opowiada o dyrektorze krematorium panu Karolu Kopfrkinglu, który ze swoim gołęmbim charakterem od uwielbienia dla pacyfizmu przechodzi do uwielbienia dla hitleryzmu. Aż postanawia przestać być Czechem i zostaje Niemcem. Żeby dostosować się do wymagań nowych czasów (koniec lat 30.), najpierw zabija swoją żonę półkwi Żydówkę, a potem córkę i syna. Pan Kopfrkingl, który najczęściej zwraca się do innych z uśmiechem, a jego ulubione słowa to „czułość” i „delikatność” w różnych wariantach, mówi w duchu do ciała żony: „Uratowałem cię, droga, przed

cierpieniem, które by cię czekało. Jak ty byś, aniele, z tą swoją krwią cierpiała w nowym, szczęśliwym, sprawiedliwym świecie”

Każdy człowiek będzie potworem, tylko trzeba mu dać szansę. To chce nam powiedzieć Fuks, i to kilka lat przed słynnym eksperymentem Zimbardo.

Filmową adaptację „Palacza zwłok” (czy to aby nie najlepszy film świata?) pokazywano w Pradze na przeglądzie Psychofilm w sekcji, której nazwę przeczytałem z oczami jak pięć złotych. Nazywała się „Blaski i cienie konformizmu”. Do głowy mi nie przyszło, że konformizm może mieć swoje „blaski”

Jest pewna życiowa prawda, którą poznałem, korzystając z psychoterapii, zaś milionom Czechów podpowiada ją od stu lat ich własna literatura. Prawdę ową wyraża jedno zdanie: „Jeśli czegoś nie da się ukryć, naucz się o tym mówić”

Wydawnictwo Agora zaproponowało mi projekt, w którym do 17 książek z serii „Literatura czeska” miałbym napisać 17 felietonów. Z książek zapamiętuję tylko pojedyncze zdania i potem zaczynają one żyć w mojej głowie już własnym życiem. Felietony te są więc tylko improwizacją na temat danej książki, swoistym jam session, gdzie pojawiają się czasem zupełnie nieoczekiwane motywy.

## **O tym, jak mąż pani Vondráčkovéj nikogo nie obsługiwał**

*[Bohumil Hrabal, „Obsługiwałem angielskiego króla”, tłum. Jan Stachowski]*

„Obsługiwałem angielskiego króla” opowiada o facecie, który nigdy nie miał przyjemności spotkać się z własnym honorem. W końcu tak się z nim mijał, że ujrzał samego siebie, jak wisi na pierwszej latarni, i to nie powieszony przez kogoś, tylko własnoręcznie.

Kiedy reżyser Jiří Menzel sfilmował tę powieść, wyznał, że nakręcił film o układaniu się z totalitaryzmem. Bo jak już nadmieniałem, jego zdaniem to film o Czechach, którzy są urodzonymi lokajami i starają się przypodobać

silniejszym. Ponieważ posiadam dużą kolekcję Czechów, którzy lokajami nie są, chciałem opowiedzieć o jeszcze jednym. To mężczyzna, który tak broni honoru swojej żony, że w jego imieniu wypowiedział nawet wojnę.

Jego żona – piosenkarka Helena Vondráčková – każdego dnia dowiaduje się z tabloidów czegoś nowego na własny temat. Na przykład może zobaczyć siebie, jak wysiada z samochodu w pełnym słońcu i bez makijażu, z wyjątkowo widocznymi zmarszczkami, i czyta podpis, żeby z wychodzeniem na ulicę dała sobie spokój („Babciu, już dość!”). Albo że zapłaciła za aresztowanego męża milionową kaucję, podczas gdy w czasie rzekomego aresztowania oboje leżeli na trawniku przed domem. Kiedy gwiazda miała operację na ginekologii, tabloidy dowodziły, że mają prawo zajrzeć jej między nogi, bo chodzi o „naszą Helenkę”



Mąż Heleny biznesmen Martin Michal wprawdzie nie czytał Derridy, który twierdzi, że jeśli nie jest przestrzegane prawo do tajemnicy, to żyjemy w przestrzeni totalitarnej, ale czynnie totalitaryzmowi się przeciwstawił. Zatrudnił detektywów i researcherów. Zdobył potrzebne dowody i założył



w internecie Galerię Zakłamańców ([www.galerieprolhanych.cz](http://www.galerieprolhanych.cz)).

Prezentuje tam wszystkich dziennikarzy tabloidów, którzy kłamali na temat Vondráčkovej, i robi to w taki sam sposób, jak oni pokazują jego żonę. Jeśli dziennikarki mają nadwagę, grube nogi, zawsze tłustą cerę i nieumyte włosy – fotografie zostały tak dobrane, żeby te atrybuty były widoczne. Na przykładzie tej galerii można uczyć o klasycznych teoriach seksistowskich. „Spójrzmy na twarz tej kobiety, chociaż nie wiadomo, co to właściwie jest...” – zastanawia się nad jedną z dziennikarek. Wyciąga na wierzch ich alkoholizm, obżarstwo, nimfomanię, złodziejstwo („ukradła dwa kurze udka”). O jednej z nich dowiadujemy się, że leżała już pod wszystkim poza tramwajem.

Po lekturze strony natychmiast zgłosili się ludzie, którzy chcieli podzielić się swoją wiedzą o dziennikarzach z galerii, na przykład taksówkarz, któremu jedna z redaktorek zwymiotowała na siedzenie w samochodzie.

W galerii widnieje dwóch mężczyzn. Są (zdaniem Martina Michala) parą w życiu prywatnym i nie obyło się bez informacji o potłuczonych w ramach małżeńskich bójkach talerzach. Jeden z nich jest byłym policjantem, który został dziennikarzem (w podstawówce nikt nie chciał siedzieć z nim w ławce, bo zawsze kogoś namówił do czegoś złego, po czym natychmiast na niego donosił), drugi jest anorektykiem z niespłaconymi kredytami.

Tego można się dowiedzieć ze strony, która broni honoru kobiety. Teraz zrozumiałem, co znaczą słowa jednej z piosenek Heleny, że „tylko czyn sprawia, że jesteś mężczyzną”.

Niestety, z honorem pana Martina Michala mam także kłopot.

Kto czytał mój „Gottland”, zna postać Marty Kubišovej – piosenkarki, która do 1968 r. występowała w duecie z Heleną, a jej „Modlitwa dla Marty” stała się hymnem Sierpnia 1968, kiedy zaprzyjaźnione armie najechały kraj. Pani Marta to symbol antykomunistycznego oporu, działaczka praw człowieka i, jak się ktoś świetnie wyraził, dowód na to, że branża rozrywkowa zatrudnia nie tylko półmózgi. Reżim zabronił jej występów na 20 lat, a wiele jej nagrań radiowych z premedytacją skasowano. I dziś Martin Michal, mąż jej koleżanki, której reżim niczego nie zabronił, w poważnej rozmowie dla największego słowackiego dziennika

„Sme” twierdzi, że nie wie, czy Kubišova czegokolwiek dla swojego narodu dokonała.

„Udowodniła, że bolszewik nie jest w stanie upokorzyć każdego” – precyzuje redaktor. „Nie wiem, czy akurat Kubišova i Havel są tymi właściwymi wzorami – mówi mąż Heleny Vondráčkovej. – To była jej osobista decyzja, ja żadnego dokonania dla narodu w tym nie widzę”

Jak państwo widzą, z honorem sprawa nie jest prosta. Nawet broniąc własnego, bardzo łatwo podeptać cudzy. A może o to właśnie chodzi?

## **O tym, że życie można przeżyć jak święto**

*[Ota Pavel, „Śmierć pięknych saren”, tłum. Andrzej Czycibor-Piotrowski  
i Józef Waczków]*

### **1.**

Tę książkę podarowałem już 24 osobom. Wśród nich byli i policjant, i sprzątaczką, i pani profesor, i syn brata ciotecznego. Rok temu skończył technikum. Kiedy zobaczył biblioteczkę u mnie w domu, to po wykonaniu klasyka gatunku („Przeczytałeś w-sz-y-s-t-k-i-e te książki?”), zwierzył się, że nie przeczytał nigdy żadnej. Całą szkołę przeżył na brykach. – Może i bym przeczytał jakąś – powiedział – ale jedną z zabaw kolegów u mnie w szkole było ośmieszanie każdego, kto próbuje czytać: ale cienias, ale pedał, książkę czyta!

– Dlaczego zacząłeś czytać książki? – spytał mnie nagle i uważam, że było to najciekawsze pytanie, jakie mi ktoś zadał w życiu.

– Bo wydawało mi się, że one są mądrzejsze od ludzi, których wtedy znałem.

– No to poleć mi jakąś na początek.

No i tak jak innym, dałem mu „Śmierć pięknych saren”, ten mój typ typów.

Obdarowani oddzwaniiali oszołomieni. „To najbardziej antydepresyjna książka świata” – powtarzali (poza synem brata, bo on nie miał porównania).



## 2.

Napisał ją Ota Pavel – reporter sportowy. Syn Żyda i katoliczki, który nie trafił jak ojciec i dwaj bracia do Auschwitz, bo był za mały i przez roztargnienie ojca nieobrzezany. Tuż przed wejściem Niemców do Czechosłowacji mama zamówiła bilety na statek do Kanady, ale tata postanowił, że nie opuszczą czeskiej ziemi, tylko wyjadą z Pragi do rodzinnego Busztegradu koło Kladna i tam przeczekają wojnę. Jego naród tyle stuleci szukał swojej ojczyzny i kiedy jego rodzina znalazła ją wreszcie na własną rękę, miałyby ją nagle opuścić?

Ojciec Leo Popper był marzycielem i rekordzistą świata w obnośnej sprzedaży elektroluksów. Uwielbiał wodę i wędkowanie, a swoje życie umiał przeżywać jak święto. I o nim przede wszystkim opowiada „Śmierć pięknych saren” – wydawana najczęściej razem z „Jak spotkałem się z rybami”. Bo ryby to namiętność ojca i braci. „Już na samym początku okupacji zabrano mojemu tatusiowi busztegradzki staw. – Po co Żyd ma hodować karpie – przekonywał go starosta. Dolny staw w Busztegradzie już od dawien dawna był miłością mojego tatusia, kochał się w nim jak w dziewczynie” – zaczął rozdział „Karpie dla Wehrmachtu”.



Nie był to staw z szeleszczącym tatarakiem na brzegach, ale przyzwoity staw w środku miasta. „Jednakże tatuś już jako malec pływał po tym stawie w balii, tak jak przed nim pływali tam w balii jego tatuś, dziadek i pradziad, łączyły go więc ze stawem jakieś więzi rodzinne”. Chodził jego brzegiem i karmił karpie jak kury kajzerkami z torebki.

### 3.

W ubiegłą sobotę pojechałem specjalnie dla Państwa do Busztegradu, żeby obejrzeć muzeum zmarłego w wieku 43 lat Oty Paula, a właściwie izbę pamięci, jaką zorganizowano niedaleko domu Popperów. W innym domu, bo w oryginalnym dzisiejsi właściciele ponoć nie chcieli tracić pokoju stołowego.

Na biurku, przewiezionym z praskiego mieszkania pisarza, pod szkłem wciąż leży napisana jego ręką kartka: „Chciałbym mieć w życiu tyle pieniędzy, żeby mi zostało zawsze na kwiaty na moje biurko (styczeń 1970)”

Wśród wielu zdjęć – zdjęcie z olimpiady w Innsbrucku, którą w 1964 roku jako sprawozdawca sportowy relacjonował: trzech mężczyzn w zimowych czapkach idzie ulicą, widzimy ich od tyłu, jeden z nich z torbą sportową w dłoni ogląda się niepewnie za siebie. I podpis żony: „Ota w Innsbrucku był przekonany, że zobaczył Martina Bormana, i bardzo chciał pomóc w jego ujęciu. Czuł się prześladowany i wciąż się odwracał, żeby sprawdzić, kto za nim idzie”. Kilka dni po wykonaniu tego zdjęcia Pavel uciekł sprzed autokaru, którym ekipa reprezentantów miała wracać do Czechosłowacji. Zatrzymano go, gdy podpalił stodołę za Innsbruckiem, bo chciał uratować miasto.

Potem dwa zdjęcia i jedna kolejka do księgarni. Była tak długa, że trzeba było ją sfotografować na dwa razy. To kolejka po jego pierwszą książkę z reportażami o sportowcach – tak wzruszającymi, że przy ich czytaniu ponoć płakali nawet sami opisywani – i podpis, że zdjęcia kolejki zrobiono, żeby wysłać mu je do szpitala jako element terapii. Tam dostał od psychiatry zeszyt i długopis – i tak wszedł do literatury. Mówił potem, że dzięki pisaniu znów stawał się chłopcem, bezpiecznym przy boku taty.

„Umieć się cieszyć. Ze wszystkiego. Nie oczekiwać, że w przyszłości zdarzy się coś, co będzie prawdziwe. Możliwe bowiem, że prawdziwe przychodzi właśnie teraz, a w przyszłości nic piękniejszego już nie nadejdzie” – zanotowałem sobie cytaty ze ściany z fotografiami, bo najlepiej oddaje on ducha czeskiej literatury. Pomyślałem też, że najbardziej antydepresyjną książkę świata mógł napisać tylko więzień depresji.

#### 4.

Wyszedłem z muzeum, żeby poznać Busztegrad bliżej. Wiał chłodny, niemiły wiatr. Szybko odkryłem, że literatura przybrała w tym miasteczku formę autentycznego życia. A ono spełniło moje oczekiwania. Przy dolnym stawie stała tablica informująca, że stawy zostały stworzone dla przyjemności obywateli. Było wczesne popołudnie, między stawami na grobli trwał festyn pod hasłem „Między stawami”. Grała muzyka, ludzie byli pogodni mimo ciemnych chmur, sprzedawano ryby i kiełbasy,

a mężczyzna o wyglądzie rzeźnika, który prowadził zabawę, nagle powiedział przez mikrofon do publiczności:

– Czuję się zaszczycony, że mogę powitać... – zatrzymałem się zciekawiony, jaką osobę przedstawi konferansjer, pomyślałem, że pewnie miejscowe władze, ale on dokończył zdanie tak zaskakująco, używając takiego zdrobnienia na określenie gościa, który go zaszczyca, że powitanie to wydało mi się najbardziej seksownym zdaniem, jakie usłyszałem z ust mężczyzny:

– ...słonko! – dokończył.

Bo zza chmury właśnie oświetliło nas jasnożółte światło.

Ludzie po zjedzeniu ryb i kiełbas podążali do otwartej dwa dni wcześniej Kawiarni dla Wcześniej Urodzonych (przy domu starców), a ja zacząłem obchodzić dolny staw, w którym Leo Popper pływał w balii, i oddalać się od tłumu na grobli. Z naprzeciwka szła pani po pięćdziesiątce w czarnym skórzanym płaszczu, pchając dziecięcy wózek.

– Dzień dobry – powitała mnie. Odpowiedziałem tym samym i poszedłem dalej. Jednak jej dziwne zachowanie nie dawało mi spokoju, postanowiłem więc zawrócić.

– Przepraszam, ale dlaczego powiedziała mi pani „Dzień dobry”?

– Dlatego, że nie jestem tujejsza – odparła.

– Naprawdę? – spytałem zbity z tropu.

– Przyjechałam rano z Pragi do córki i zięcia – wyjaśniła rzeczowo.

– No ale skoro pani nie jest tujejsza – nie dawałem za wygraną – to po co mówi pani ludziom „Dzień dobry”?

– No bo ja właśnie chcę być tujejsza.

Doszliśmy do zięcia w roboczych i poplamionych białą farbą ogrodniczkach (mimo niedzieli), a że staliśmy może osiem metrów od domu Oty Paula, zapytałem go, dlaczego w oknie na pierwszym piętrze do framugi przychepione jest lustro wsteczne od samochodu. – Żeby złodzieje mogli się w nim przeglądać – powiedział wesoło zięć.

Kiedy czekałem na przystanku na autobus do Pragi, przestudiowałem plakat informujący, że w sąsiedniej miejscowości Tuchoměřice (cały powiat ma raptem 1109 mieszkańców), przy ulicy Do Poczty 104, odbędzie się show

transwestytów Daisy Dee i Chi Chi Tornado, ale konieczna jest rezerwacja pod numerem komórkowym. Pomyślałem wtedy, że też chciałbym być tutejszy jak Ota Pavel i jego tata Leo Popper, ale za trzy minuty miał już być autobus.

## **O tym, jak przeżyć, nie wymiotując**

*[Jaroslav Hašek, „Przygody dobrego wojaka Szwejka, tom I i II”, przeł.  
Paweł Hulka-Laskowski]*

To było już po dowcipie, który dobrze ilustruje każdą epokę. (Facet wymiotuje na placu Wacława w Pradze pod samym pomnikiem świętego. Wymiotuje, wymiotuje, a drugi gość patrzy na niego zachwycony. Tamten skończył rzygać, wtedy ten zachwycony podchodzi, podaje mu rękę i mówi w uniesieniu: „Chciałem tylko powiedzieć, że ja się z panem bardzo, ale to bardzo zgadzam!”).

Między tym dowcipem a następnym czytelniczka z czwartego rzędu zadała mi poważne pytanie. Spytała (omówię pytanie tak, jak je zapamiętałem), dlaczego – skoro Czesi są tak weseli, przyjemni i wciąż szukają swojej sławetnej „pohody” – wielu z nich potrafiło tak okrutnie zachowywać się w komunizmie, a przez własną bierność akceptowali podłe rzeczy. Co przecież obficie opisuje ich literatura, a i ja sam w „Gottlandzie”

Nie umiałem od razu precyzyjnie odpowiedzieć, choć wiedziałem, że trzeba by powołać się na wielkiego czeskiego filozofa.

Nazywa się Józef Szwejk.



Najwłaściwszą odpowiedź podaje jeden z moich ulubionych autorów, publicysta i eseista Josef Jedlička, przedstawiciel tej grupy myślicieli czeskich, która uważa, że szwejkizm to postawa filozoficzna. Wiemy, że Szwejk nie szanuje niczego poza samym życiem. Najwyżej ceni to, co życie czyni jeszcze przyjemniejszym. Dlatego za życie jest w stanie zapłacić każdą cenę. Ale jednocześnie jest człowiekiem – i tu wyobrażam sobie, że Jedlička podnosi w górę palec – dla którego nie ma nic świętego, dla którego ryzyko nie ma żadnej wagi. Bo za to, że mu w ogóle dadzą żyć, chętnie zgodzi się na wszystko.

I właśnie takich ludzi potrzebują totalitaryzmy. Za możliwość przeżycia Szwejk jest w stanie zapłacić także tym, że czasem przymknie oko na nikczemności.

„Ale nie jest naszą winą, że jesteśmy narodem Szwejków – Jedlička dodaje zaraz. – Naszą winą byłoby, gdybyśmy narodem Szwejków chcieli być i zostać na zawsze”

Droga Czytelniczko, pewnie to nie jest jeszcze wystarczająca odpowiedź. Dodam więc, że idee komunizmu zaczęły być wcielane w Czechosłowacji dopiero w 1948 roku, ogromna część narodu przyjęła je w dobrej wierze i uważała, że twardo trzeba stawać w ich obronie. Zaś obrona czegoś, co się naprawdę kocha, może łatwo zamienić się w fanatyzm.

Wróćmy do świętego celu Szwejka – „przeżyć za każdą cenę”. Niedawno w wieku prawie 101 lat zmarł czeski reżyser Otakar Vávra. Do ostatniej niemal chwili wykładał w praskiej szkole filmowej. Był uznanym twórcą

we wszystkich ustrojach. Już przed wojną jako dwudziestokilkulatek za swoje filmy dostawał nagrody. Do Komunistycznej Partii Czechosłowacji wstąpił w 1945 r. – trzy lata przed całkowitym przejściem przez nią władzy – a wystąpił z niej dopiero w 1989 r. Zaraz po upadku komunizmu pewna dziennikarka zapytała go więc, jak on – który kręcił za przedwojennej demokracji, kręcił za Hitlera, kręcił za Stalina, kręcił w odwilży, kręcił za neostalinowskiej normalizacji i właśnie ma kręcić w kapitalizmie – patrzy teraz, w 1990 roku, na przyszłość kraju.

„Myślę – odparł – że to, co mówi nasz prezydent Václav Havel, jest trafne. Ludziom będzie bardzo trudno pokonać swoje podświadome nawyki z systemu totalitarnego”

I chyba wiedział, co mówi.

Kiedy w 1996 r. wydał swoje wspomnienia, świadomie bądź też nie, w trzecim zdaniu napisał coś, co chyba świetnie tłumaczy jego życiową metodę: „Żyłem, wyłącznie patrząc przed siebie”

Kiedy w 2004 r. prezydent Václav Klaus odznaczył Orderem Lwa Białego legendarnego czeskiego lotnika z czasów II wojny światowej z Royal Air Force, po 1948 r. poddanego prześladowaniom przez komunistów generała Fajtla, na tej samej uroczystości takim samym orderem odznaczył reżysera Vávrę. Wiele komentarzy na ten temat natychmiast zaludnił Szwejk. Przekaz pana prezydenta jest prosty – pisano – człowiek odważny skończy tak samo jak cwaniak, który umiał się przystosować.

Szwejk ma jednak w czeskim społeczeństwie całą armię przeciwników.

Kilka lat temu zatelefonował do mnie kolega poeta zde gustowany tym, że właśnie obejrzał w telewizji talk-show z Otakarem Vávrą. Ponoć reżyser wyjawiał, że prawdziwe bohaterstwo to dostosować się do wszystkich reżimów i przeżyć. To wymaga inteligencji, sprytu, a przede wszystkim odwagi.

Odważna teoria! Chciałem spytać o to pana Vávrę i zadzwoniłem do jego żony. Powiedziała, że mąż jest na wykładach, ale chętnie odpowie na pytania, tylko muszę mu za to zapłacić. W przeliczeniu – 300 zł.

Wyjaśniłem, że źle bym się z tym czuł, poza tym moja gazeta nie płaci za rozmowy. Gdybym zapłacił, mógłbym stracić pracę.



– Nic na to nie poradzę – odparła. – Mąż też musi jakoś przeżyć.

## **O tym, że lepiej nie szwejkować, zwłaszcza po śmierci**

*[Jaroslav Hašek, „Przygody dobrego wojaka Szwejka”, t. III i IV, tłum.  
Paweł Hulka-Laskowski]*

Spotkał mnie Petr, mój kolega Czech mieszkający w Warszawie, i od razu na mnie nakrzyczał, że napisałem ostatni felieton, jakby Szwejk był dla jego narodu nieskończenie ważny.

– Ja go nie znoszę – wyjaśnił – i właśnie dlatego go nie czytałem.

Jak widać, postać literacką można ukarać, nie czytając jej. I takich jak Petr jest wielu. Opozycja antyszwejkowa w czeskim społeczeństwie jest stokroć liczniejsza niż kiedyś opozycja antykomunistyczna.

Nie dają się przekonać, że Szwejk to naturalna reakcja słabych na silniejszych. Że Szwejk to zwycięstwo nad machiną wojenną poprzez obalenie jej powagi za pomocą śmiechu. Żadna próba uszlachcenia Szwejka nie ma dla takiego opozycjonisty sensu. Nie cierpi on bowiem „tego półgłówka” za to, że przyprowadził wszystkim Czechom gębę.

Tylko że nawet jeśli Czech przygód Szwejka nie czytał, musi zderzyć się ze švejkárną, švejkovaniem i švejkovinami. To różne czeskie nazwy na groteskowe sytuacje „jak ze Szwejka” i zachowania podobne do jego zachowań.





Józef Szwejk wyprowadził się już ze swojej książki na dobre. Pisze o tym czeska antropolog Hana Červinková („Widmo Szwejka i profesjonalizm czeskiej armii”). Przytacza przykłady tego, jak prasa i władza, zaniepokojone złą reputacją czeskiego wojska, przyzywają imię dobrego wojaka. „Szwejkowanie przeszkadza wejść do NATO!”; „Albo będziemy odbierani jako rozjemcy, jak nasi żołnierze SFOR w Bośni, albo możemy być uznani za Szwejków!”; „Musimy pokazać światu, że już nie jesteśmy Szwejkami!” (to ostatnie zdanie wypowiedział nawet sam prezydent Havel w drugą rocznicę wstąpienia Czech do NATO).

„W tym kształcie Szwejk jest laleczką wudu” – zauważa Hana Červinková.

Na początku września 2011 r. w katastrofie lotniczej w Rosji zginęło trzech wybitnych czeskich hokeistów. Grali w rosyjskiej drużynie Lokomotiw Jarosław. Śmierć wywołała ogromne emocje. Pojawił się zaraz pomysł, żeby wystawić ich w trumnach na rynku staromiejskim w Pradze. Nie zgodziły się rodziny, więc ustawiono tam setki zniczy, zdjęć i hokejowych symboli. Tłumy adorowały to miejsce w dzień i w nocy, skandując nazwiska zmarłych.

Hokej to czeska religia. Gdy Czesi zostali hokejowym mistrzem świata, od skoków z radości na stadionie zrodziło się hasło „Kto nie skacze, nie jest Czechem!”. We wrześniu, po śmierci trzech zawodników, zostało przez tłum na praskim rynku zamienione na „Kto nie płacze, nie jest Czechem”.

Ivan Hamšík, redaktor naczelny tygodnika „Reflex”, tak się tym zdenerwował, że w swoim piśmie rzucił na pierwszej stronie: „Idźcie już

w cholerę z tym Szwejkiem”

„Nie jest winą hokeja, że wzruszamy się tylko przy sporcie. Jest to problem nas, Czechów, że nic innego u nas nie wywołuje emocji” – napisał. I dał przykłady – zabity czeski żołnierz w Afganistanie doczeka się klasycznej reakcji: „Mógł tam nie jechać”; gdy tragicznie zginie polski prezydent i cały kraj go żegna, Czesi natychmiast powtarzają: „Szkoda, że nie leciał z nim Klaus”

Redaktor uważa zbiorowe uniesienie po śmierci hokeistów za kolejny odcinek niekończącego się serialu „Jak nie umiemy nic normalnie przeżyć”. Znowu sobie zaszwejkowaliśmy – stwierdza rozgoryczony. Marzy, by ten serial miał wreszcie ostatni odcinek: „Szwejk – symbol naszego narodowego charakteru – umiera, a jego szczątki zostają spalone. My wreszcie mówimy sobie, że był to obrzydliwy typ z czerwonym nosem, i czcimy go wielką narodową stypą. Będzie to nasz ostatni kicz”

Napisałem do redaktora, że nie bardzo rozumiem, jak wspólne przeżywanie śmierci można nazwać szwejkowaniem. Przecież my w Polsce także bardzo spektakularnie przeżywaliśmy tragedię lotniczą na placach i ulicach Warszawy. Co to ma wspólnego ze Szwejkiem?

Odpisał, że słowa „szwejkować” używa się także w przypadku, gdy człowiek po prostu zachowuje się idiotycznie. Bo jak inaczej, proszę pana, nazwać ten przesadzony pośmiertny patos?

## **O myślach narodu czeskiego**

*[Jaroslav Papoušek, „Czarny Piotruś”, tłum. Aleksandra Dębowska  
i Ryszard Horodyński]*

Piotruś ma 18 lat i wie, że bardzo ciężko zataić przed otoczeniem to, co naprawdę myślimy. Odbywa praktykę jako sprzedawca w sklepie, ale źle mu tam, a przede wszystkim nie umie dostosować się do panujących norm.

– Piotrze! – przeraziła się matka. – Przecież uśmiech nic cię nie kosztuje, a myśleć możesz sobie, co chcesz – ostatnie słowa powiedziała prawie szeptem.

– Ja i tak myślę sobie, co chcę – powiedział Piotr. – Zawsze!

– Tylko że okazujesz to, Piotrusiu.

Kiedy nadarza się okazja, chłopak mści się na rzeczywistości, której nie umie zaakceptować. Idzie na dworzec kolejowy, odnajduje tabliczkę DLA MĘŻCZYŹN, wchodzi do kabiny i pisze na ścianie: SRAM NA SKLEP 23 V 1946 r. P.V. Ta wizyta Piotra w ubikacji przynosi mu ten drugi rodzaj ulgi w WC – ulgę psychiczną.

Kiedy Gombrowicz znalazł się w kawiarnianej toalecie i przypadkowo namacał w kieszeni ołówki, szum wody natychmiast mu zaszepotał: „Zrób to, zrób to”. Pisarz nabazgrał coś niewybrednego, wyszedł z kawiarni i wmieszał się w tłum. Nie udało mu się tego faktu zataić – ujawnił go w „Dzienniku”. Przyznał, że wiele lat żył w niewiedzy, jak bardzo taki akt pisania może być elektryzujący. „I ledwie mogę powstrzymać się od wyrzutów, że tyle lat zmarnowałem, nie znając rozkoszy równie taniej i pozbawionej wszelkiego ryzyka”.



Napisy klozetowe są zwierciadłem narodów i doskonale pokazują, co mamy wspólnego (głównie pragnienia seksualne), a czym się różnimy. Na przykład dwie filozofie życia – polską i rosyjską – najlepiej oddaje zestaw napisów z publicznego klozetu w Warszawie:

Napis po angielsku: „Polacy, dlaczego nie sprząacie w swoich kiblach?”

Napis po polsku: „Chcemy, ale nie możemy”.

Drugi napis po polsku: „Możemy, ale nie chcemy”.

Pod tym wszystkim napis po rosyjsku: „Riebiata, o cziom wy goworitie?”

Ta puenta o pogardzie dla rzeczy przyziemnych przypominała mi się, kiedy w 1991 r. przewodniczka w Ermitażu z dumą oznajmiła mojej wycieczce, że naród radziecki jest na najwyższym stopniu cywilizacyjnego rozwoju. Na co powiedziałem, że ta cywilizacja nie dotarła jeszcze tylko do Ermitażu, bo w toaletach nie ma papieru i wszyscy wycierają tyłki najpierw ręką, a potem o ściany, i że przewodniczka może to sobie obejrzyć (ja już to widziałem). Nie zabiła mnie chyba tylko dlatego, że za chwilę Związek Radziecki miał już upadać. Powiedziała z dumą: – Dla naszego narodu najważniejsza jest literatura i sztuka – i pokazała ręką obrazy.

Jeśli chodzi o naród czeski, to gatunek literacki, jakim są napisy klozetowe, wyniósł on na wyżyny. Napisy te mają w Czechach swoich fanów, strony internetowe i fora. Być może bierze się to z tego, że statystyczny Czech częściej chodzi do publicznej toalety niż statystyczny Polak. Dlaczego? Proste: Czesi piją więcej niż my piwa i piją je przede wszystkim poza domem, muszą więc częściej korzystać z toalet. Częste obcowanie podpitych umysłów z pisuarem sprawia, że w Czechach napisy spotyka się nie tylko w kabinach, lecz także nad pisuarami.

Istnieje czeski napis, który zrobił międzynarodową karierę – trafił na wieżę Eiffla, do nowojorskiego metra i do radzieckiej stacji polarnej Mir na Antarktydzie. Dotyczył profesora politechniki praskiej o nazwisku Servít. Profesor był tak złośliwy na egzaminach, że studenci w latach 60. XX wieku zaczęli masowo wypisywać w toaletach uczelni, a potem po całym mieście: „Servít je vůl” (Servít to dureń).

Fenomen Servíta polegał na tym, że przez dziesięciolecia korespondowano z nim na ścianach („Servície, przepraszamy cię, są więksi durnie” itp.), a po śmierci profesora ważność napisu przeniesiono na następnego wykładowcę o tym nazwisku – Zdenka Servíta, kierownika katedry fizjologii. Kiedy ten podpisał w 1968 r. wymierzoną w kierownictwo partii komunistycznej petycję „Dwa tysiące słów” i usunięto go za ten czyn ze stanowiska, zaowocowało to napisem: „Servíta wyrzucili, bo już nie jest durniem, Servítová”.

Uwielbiany w Polsce pieśniarz Jaromír Nohavica chętnie nawiązuje

do klozetów. Swój styl artystyczny charakteryzuje jako „półmisek anonimowych listów, pięknego śpiewu w piwniczkach i gospodach, nieżyczliwych połajanek policjantów i napisów klozetowych”. Opowiadał kiedyś na koncercie, że siedząc na muszli, zobaczył przed sobą napis, który go uwznioślił i sprawił, że od razu lepiej pomyślał o ludziach. Napis brzmiał: „Kocham Marcela Prousta”. Uwnioślony Nohavica z nadzieją spojrział w lewo i przeczytał: „Každá dupa šmírdí”

Wysoki z niskim, filozoficzny z trywialnym, ale zawsze dowcipny – taki jest styl czeskich napisów. Mówię zarówno o utworach tworzonych przez klientów toalet, jak i przez personel, choć często mam wrażenie, że to klienci dla wspólnoty śmiechu tworzą napisy, które udają napisy personelu.

Moja złota siódemka czeskiej literatury wychodkowej wygląda tak:

1. „Alkohol nie da wam odpowiedzi, ale pozwoli zapomnieć pytanie” (toaleta męska w barze praskim).

2. „Największą życiową mądrością jest zawczasu się rozeznąć: na kogo się wys..., a przed kim się pos...!” (na ścianie klozetu te słowa też były wykropkowane).

3. „Nie wrzucajcie petów do pisuaru. Tą ręką, którą je wyciągam, nakładam wam także jedzenie” (toaleta męska w knajpie U Vystřeleného Oka na Žižkovie, ale także w innych knajpach Republiki Czeskiej).

4. „Nie wierz we wszystko, co myślisz” (dworzec w Brnie).

5. „Nie wrzucajcie do pisuarów gum do żucia!”, dopisek: „W ten sposób tracą na smaku”.

6. „Wiecie, dlaczego Bóg stworzył jako pierwszego mężczyznę? Bo wszystko zaczyna się od zera” (toaleta w gimnazjum w Czeskiej Lipie).

I napis nr 7. Przypominam go sobie zawsze, kiedy trzeba mi szybkiej dawki śmiechu – z toalety w restauracji nad stawem rybnym w Czeskich Budziejowicach-Borszowie: „Szanowne panie, nie wyrzucajcie tamponów przez okna, nasze kaczkę się nimi dławia”.

Jestem przekonany, że gdyby anonimowemu Czechowi przyszło napisać na ścianie WC treść nieśmieszna, straciłby szacunek do samego siebie.

**O tym, jak Havla lubiły wszy**

*[Václav Havel, „Opera żebracza”, tłum. Andrzej Sławomir Jagodziński]*

## 1.

Dramat „Opera żebracza” (wariacja na temat „The Beggar’s Opera” Gaja i Pepuscha z 1728 r.) opowiada o rzeczywistości, w której jedyną zasadą jest to, że nie ma żadnych zasad.

Gdy władze komunistycznej Czechosłowacji zorientowały się, o czym jest nowa sztuka Václava Havla, natychmiast zakazały jej wystawiania. Premiera w 1975 r. przygotowywana była tajnie. Próby odbywały się w różnych mieszkaniach, a przedstawienie odegrano w gospodzie pod Pragę, gdzie wszystkie okna zasłonięto materacami. Żaden dźwięk nie mógł wydostać się na zewnątrz. A i tak nie uchroniło to twórców przed represjami Służby Bezpieczeństwa.

Kiedy w 1983 r., po ponad trzech latach więzienia (za zainicjowanie opozycyjnej Karty 77 i założenie Komitetu Obrony niesprawiedliwie prześladowanych), Havel zachorował ciężko na płuca, kierownictwo zakładu karnego postanowiło karać go dodatkowo nieleczeniem. Więźnia warunkowo wypuszczono po międzynarodowej interwencji. Na półpiętrze klatki schodowej w jego kamienicy usiadł na krześle dyżurny mundurowy. Kiedy „śledzony obiekt” wychodził z psem, mundurowy – pięć metrów za nim. Legitymował każdego, z kim „ś.o.” rozmawiał. Gdy Havel kupował bułki, funkcjonariusz spisywał nawet sprzedawczynię, przeważnie tę samą. Naprzeciw letniego domu Havla na Hradečku esbecja zbudowała swój letni dom, gdzie umieszczono sprzęt podsłuchowy.





W sierpniu 1985 r. „ś.o.” wybrał się na tydzień samochodem z Pragi do Bratysławy. Widziałem dokument o tej absurdalnej podróży pt. „Obywatel Václav Havel jedzie na wakacje”. Za autem „ś.o.” cały czas podąża drugie, oba są przez tajniaków filmowane zza drzew. Kobietę, która z nim jechała, esbecy w połowie drogi porwali i wcisnęli do powrotnego pociągu. Gdy Havel dojechał do Bratysławy, został wezwany na przesłuchanie, gdzie usłyszał, że ma opuścić miasto i nie ma prawa tu przyjeżdżać przez 20 lat.

Obliczył, że w jego tygodniową wycieczkę zaangażowanych było 300 funkcjonariuszy tajnej policji.

Majster, który zajmował się letnim domem Haulów, opowiada w filmie, że pod nieobecność gospodarzy esbecy zalali betonem wszystkie rury odpływowe. Nie można było znaleźć hydraulika, który zgodziłby się tam pojechać. Kiedy znalazł się jeden bohaterski hydraulik, majster przewiózł go w bagażniku i wysadził dopiero w stodole Haulów.

W filmie pada informacja, że w 1985 r. w Czechosłowacji mieszkało 15 mln

obywateli. 17 tys. pracowało w bezpieczeństwie. Kartę 77 podpisało 1228 osób.

Jak widać, Havel był na wagę złota.

## 2.

Ledwo obalił komunizm, już zaczęli go śledzić nowi funkcjonariusze.

Kiedy prawie dziesięć lat temu pojęciami „duchowy wymiar życia społecznego” i „pokora wobec tajemnicy życia” prezydent Havel otwierał międzynarodowe spotkanie intelektualistów Forum 2000 w Pradze, największy kolorowy dziennik przywitał go tytułem: „Panie Prezydencie, ma Pan syna (?)”. Chodziło o nieślubne dziecko pewnej dziennikarki. Kończyło właśnie 15 lat, a na imię miało Vašek. Drugiego dnia gazeta już oznajmiała, że gdy chłopiec był mały, Havel poddał się testom, które wykluczyły go jako ojca. Wydrukowano nawet stosowny dokument. Trzeciego dnia serialu gazeta zupełnie oczyszczała prezydenta, stwierdzając, że matka dziecka to szantażystka.

Nie ma wątpliwości, że redakcji finał tej sprawy był znany od początku, ale kampania musiała być rozpisana na tyle dni, ile trwało owo Forum 2000. Na zarzut „hieństwa” redaktorzy odpowiadali, że przecież wyświadczyli mu przysługę i oczyścili go z podejrzeń o nieślubne dziecko.

Autorka książki „Afery miłosne pierwszej pary” (2000) usprawiedliwia swoje dzieło o kochankach Dagmar i Václava Havelów tym, że „nie jest żadną tajemnicą, iż kobiety nie były Havelowi obojętne”, a „Dasza zakochiwała się szybko i często”. I to już jej daje legitymację do spisania katalogu skoków w bok.

Autorka najnowszego czeskiego hitu (2011) ujawnia, że pozbawiony połowy prawego płuca, w którym rozwijał się rak, poruszający się o kuli, izolowany niedawno przez pięć miesięcy, bo od skomplikowanego zapalenia płuc tracił równowagę, pamięć i siły, Havel miał z nią między lutym 2010 a lutym 2011 r. pozamałżeński romans. Hit ma tytuł „Tajna książka” (a powinien: „Nędzna operetka”), wyszedł we wrześniu, dzień przed 75. urodzinami eksprezydenta.

Książkę napisała niewolnica prawdy. Nazywa się Irena Obermannová (49



lat), jest autorką wydanego u nas „Dziennika szalonej mężatki”, żyje z pisania scenariusza do najpopularniejszej czeskiej telenoweli. Wyznała pismu „Týden”, które tematowi poświęciło 13 stron (!), że oczywiście dużo myślała o tym, czy może kogoś książką skrzywdzić. I odpowiedziała sobie: „Ewentualnie tylko przez parę dni”

Książka zaczyna się tak: „Są rzeczy, których nie sposób napisać. Jak wytłumaczyć Największemu Czechowi, że deska sedesowa w mojej toalecie spada? A jak spotka w windzie sąsiadów? Co oni pomyślą? Że im się przywidział Największy Czech?” Potem jest już dziennikiem pisarki i kochanki, która notuje na przykład: „11 kwietnia. W gazetach czytam, jak jakiś urzędnik państwowy wyjaśnia, dlaczego Największego Czecha nie zaproszono do podpisania ważnej dla świata petycji. Ponoć nie zaprosili go, bo był chory. A więc nie był. Mogę to poświadczyć”

Żona Havla ma tu ksywę „Centrala”, bo ciągle dzwoni do niego i sprawdza, gdzie jest. Co Największy Czech powiedział bezpośrednio przed stosunkiem – pomnę.

Kiedy Obermannová czuje, że przeholowała, wyjaśnia, po co to wszystko pisze: „Zmieniłeś się w pozbawioną płci narodową maskotkę, wiesz? A miałaś kiedyś taką piękną opinię świntucha. Powinnam poprawić twój medialny wizerunek”

„Piękny prezencik dla człowieka, który właśnie uciekł grabarzowi spod łopaty – napisał tygodnik „Reflex” – Prawda to czy fikcja, książka nieźle zamiesza Havlowi w życiu osobistym”

Pani Obermannová na pewno byłaby zaskoczona, gdyby jej pracę porównać z pracą czechosłowackich funkcjonariuszy SB.

### 3.

Podobno wszy nie rozróżniają między ludźmi, a każda krew jest dobra. Nie zgadzam się. Jestem przekonany, że wszy najbardziej lubią krew bohaterów.

## O amalgamatach, czyli czeskich Tatrach

*[Ladislav Grosman, „Sklep przy głównej ulicy”, przeł. Cecylia Dmochowska]*

Znany krytyk „New Yorkera” Kenneth Tynan napisał, że po obejrzeniu filmu „Sklep przy głównej ulicy” płakał jeszcze po wyjściu z kina. Amerykańska prasa podkreślała, że to film, który zdobył pierwszego Oscara dla komunistycznej Europy (1966). Główną rolę zagrała w nim aktorka z Polski, dyrektorka Teatru Żydowskiego w Warszawie Ida Kamińska. (Nominowana w wieku 67 lat do Oscara, w Hollywood wyraziła jedno życzenie: aby na limuzynie, która wiozła ją na uroczystość, została umieszczona nie tylko flaga czechosłowacka, lecz także polska). Ten chyba pierwszy o światowej sławie film z naszego regionu nakręcili na Słowacji Czech Elmar Klos i Słowak Ján Kadár.

Nowela „Sklep przy głównej ulicy” jest książką napisaną po czesku, jednak napisał ją nie Czech, lecz Słowak pochodzący z żydowskiej rodziny. Do tego patriota, który w sierpniu 1944 r. walczył przeciwko hitlerowcom w słowackim powstaniu narodowym. Niemniej po wojnie nie chciał żyć na Słowacji, która była dla niego cmentarzem ojca, matki i trojga rodzeństwa. Nie mógł pogodzić się z tym, że słowaccy faszyci pod kierownictwem księdza Tisy byli w kwestiach rasowych jeszcze bardziej zawzięci niż faszyci niemieccy. „Najostrzejsze prawo dla Żydów w Europie jest słowackie, mamy 270 paragrafów!” – chwaliły się bratysławskie „L’udové noviny”. Ladislav Grosman wyjechał więc po wojnie do Pragi, ale przez lata pracował tam w słowackim wydawnictwie.



Mało o Grosmanie materiałów. Udało mi się znaleźć wspomnienie jego przyjaciela, który zachwycał się, że Ladislav tworzył świetnie w obu językach i nigdy nie wiedziało się, czy jest pisarzem słowackim, czy czeskim.

Jak to? – zdziwiła się szczerze para czeskich emerytów. – Był przecież pisarzem czechosłowackim!

Swego czasu w „Gazecie Wyborczej” wydrukowaliśmy informację ze słowem „Czechosłowacy”. Natychmiast w internecie pojawił się głos: „Czechosłowacy? Kolejne dno »'dziennikarstwa'« przebite”. Inni wtórowali, że taki amalgamat słowny jest niedopuszczalny, a inteligentny człowiek musi rozróżniać obie narodowości. I że nie spodziewali się takiego idiotyzmu w „Wyborczej”

Kiedy książkę „Zrób sobie raj” przed drukiem w Polsce dałem do przeczytania mojej tłumaczce na czeski Helenie Stachovej, dama ta, czytając akapit o zamachu na Heydricha, którego dokonali Czesi i Słowak, napisała mi uwagę na marginesie: „Nie ośmieszaj się i nie pisz » „Czesi

i Słowak”«. Ile razy mam podkreślać, że byliśmy Czechosłowakami?!”

Pouczającym nas, że taki twór nie istnieje, polskim czytelnikom wysłałem więc linki do niezliczonych czeskich stron, gdzie Czechosłowacy występują jako poważna, istniejąca, konkretna i historyczna kategoria:

Czechosłowacy podczas II wojny walczyli też na Filipinach  
Przed 70 laty Czechosłowacy zaczęli służbę w brytyjskim RAF;  
Czechosłowacy są dumni ze 127 medali;  
Czechosłowacy objechali škodą kulę ziemską;  
I tym podobne.

Jeszcze dla pewności miesiąc temu na spotkaniu autorskim w miasteczku Klatovy wykorzystałem to, że przyszła głównie starsza publiczność, i spytałem, czy pojęcie „Czechosłowacy” jest prawdziwe. – Siedzimy tu przed panem – odpowiedzieli chórem. – Właściwie tu się miało dużo szczęścia – dodał ktoś. – Jak ktoś urodził się Czechem, to był jakby od razu Słowakiem, a jak urodził się Słowakiem, to był też Czechem.

W czechosłowackich wiadomościach telewizyjnych mówiło się na przemian po czesku i słowacku. Poniedziałek w całości był w telewizji dniem słowackim. Dlatego dziś im Czech starszy, tym lepiej zna słowacki, i odwrotnie. Na Słowacji, mimo rozvodu obu krajów w 1993 roku, przez ostatnie 18 lat do zagranicznych filmów nie robiło się słowackich napisów, jeśli były już czeskie. Dzieciom kupowało się czeskie bajki na DVD. Często nie tłumaczyło się światowych bestsellerów, jeśli były już przetłumaczone na czeski. Rynek! Tak jest taniej w pięcioipółmilionowym kraju, gdzie do tego pewien odsetek to Węgrzy – niezainteresowani czytaniem po słowacku, bo te same światowe książki są po węgiersku.

Przemieszczanie się słowackich twórców do Czech trwało całe dziesięciolecie. Tłumaczyli to często przypadkiem. Jednak w wielu z tych przypadków można podejrzewać, że była to ucieczka od kultury ludowej – w powszechnym mniemaniu nie narodził się w niej nikt o sławnym intelekcie – do kultury o europejskim znaczeniu. Kultury, która daje większe możliwości. Wielu z nich szeszczyło się tak, że dziś nikt by nie powiedział, że są Słowakami. Najjaśniejsza czeska gwiazda sceny, „słowiańska Edith Piaf”, czyli Hana Hegerová, jest Słowaczką, ale śpiewa po czesku i w notkach

o niej widnieje: „piosenkarka czeska”

Dostałem niedawno wiadomość, że Słowacy chcą przetłumaczyć moją książkę. Napisałem do wydawnictwa, że to chyba pomyłka – istnieje przecież po czesku. Młody wydawca wyjaśnił, że oni są nową falą w słowackiej kulturze. Czas skończyć z Czechosłowakami. Nie może być tak, że po słowacku wydaje się harlequiny, a poważne książki słowacka inteligencja czyta tylko po czesku.

Kiedyś bohater mojego reportażu, młody Czech, mówiąc, że szkła kontaktowe to wynalazek czeski, a spadochron – słowacki, przestrzegał: – Ważne, żeby pan odróżniał te dwie narodowości.

Oczywiście, że odróżniam. I nawet ostatnio udało mi się przekonać jedno znajome małżeństwo, że czeskie Tatry nie istnieją.

Ale tę jedną z najpiękniejszych czechosłowackich książek i jeden z najwybitniejszych czechosłowackich filmów serdecznie polecam.

## **O donosach z raj**

*[Zdeněk Svěrák, „Butelki zwrotne”, przeł. Tomasz Grabiński – literacka wersja scenariusza filmu pod tym samym tytułem]*

Codziennie dostaję jakiś donos.

Na przykład: „11.10.2011: w październikowy weekend wybraliśmy się z przyjaciółką pospacerować po czeskich Jeseníkach. Po dwukilometrowym spacerze trafiliśmy na COŠ, co w Polsce nie miałoby racji bytu. W środku lasu, przy górskim potoku, jest Lesní Bar, coś na kształt turystycznej wiaty/chatki. Obok ławy, stoły i miejsce, gdzie wiecznie pali się ognisko. Przy potoku stoją zrobione z drewna specjalne korytka, przez które przelewa się źródłana woda i chłodzi: piwo, orzechówkę, śliwowicę, zelený Božkov oraz inne nealkoholické nápoje, które umieszczone są w wyżłobionych drewnianych pojemnikach. We wspomnianej chatce jest też turystyczna lodówka, w której znajduje się kiełbasa, zestaw szklanych kieliszków do nalewek oraz szklanych kufli do piwa...



I teraz rzecz najważniejsza: to COŚ jest bezobsługowe, tzn. jest informacja, że piwo kosztuje 15 koron, pozostałe napitki 12 koron, kiełbasa, kawa, herbata, słodycze dla dzieci tyle a tyle, i... jest skarbonka. Wszystko opiera się na ludzkiej uczciwości. Pierwsze nasze przemyślenia: gdyby to było u nas, co na to sanepid, urząd skarbowy etc. Choć w sumie to nic, bo jednego wieczoru pewnie w jakiś dziwny sposób gdzieś rozeszłoby się wszystko:):”

Takie miłe donosy zawsze są podpisane. Ten podpisał pan Jacek Stanisławczyk. Mam ich więcej, idealnie wpisują się w oczekiwania tych, którzy za południową granicą widzą mentalny raj.

Ponieważ piszę ten felieton na marginesie „Butelek zwrotnych” w wersji filmowej i książkowej, a znam wiele osób, którym ten film przybliżył kulturę czeską w wersji pocieszającej, czyli tej, jakiej najbardziej pożądamy, pomyślałem, że przybliżę dziś państwu fenomen leśnego baru, gdzie przecież butelki grają istotną rolę. (I są to butelki bardzo zwrotne, bo w ogóle nie



opuszczają miejsca sprzedaży).

Ustaliłem przez urząd lokalnego starosty, kto bar wymyślił i prowadzi. Zadzwoiłem, odebrał pan Václav Paulíček, który wyznał: – Ten bar, proszę pana, to żaden powód do chluby. On wynika z najgorszej cechy mojej osobowości. Bo ja, proszę pana, jestem leniwy. Mnie by się nie chciało tam stać w lesie cały dzień i te rummy sprzedawać. Pomyślałem: a niech się samo sprzedaje. Tylko wieczorem idę zabrać alkohol, bo przez noc nie może tam stać. Jestem synem leśnika, sam skończyłem studia leśne i mam już 49 lat. Przyzna pan, że w tym wieku nie muszę się już przemęczać.

– I nikt nic nie kradnie?

– Turysta leśny czy górski to inny typ człowieka. Jeśli złodziejstwo ma miejsce, proszę pana, to raczej lumpy ze wsi kradną. Ale po pierwsze, mam telefony do nich i jak coś zginie, zaraz dzwonię, a po drugie, solidarność się narodziła z barem i cała wieś pilnuje tych swoich złodziei, żeby nic stamtąd nie zwędzili, bo honor psują.

– Ale czy wszyscy na pewno płacą? – dopytywałem.

– A czy pan by zapłacił?

– Ja? Oczywiście, że tak!

– No widzi pan, na tym opieram swój sukces. Każdy pyta, czy inni płacą. Każdy ma wątpliwości co do kogoś innego, a nie co do siebie. No to skoro nikt nie wątpi w siebie, należy założyć, że wszyscy są uczciwi, i ufać ludziom.

Kiedy rozmowę z panem Paulíčkem streściłem moim różnym czeskim znajomym, zaraz mnie upominali, żebym tylko nie idealizował ich kraju i nie szerzył swoich czechofilskich prawd. Bo przecież ich państwo zżera złodziejstwo i korupcja, wystarczy poczytać gazety.

Owszem:

„W depeszach amerykańskiej dyplomacji z 2009 roku, ujawnionych przez portal Wikileaks, Czechy są przedstawiane jako najbardziej skorumpowany kraj Europy Środkowej”; „W ciągu półtora roku z powodu podejrzeń o korupcję z rządu odeszło już trzech ministrów”; „Miliarder Andrej Babiš tworzy parlamentarny ruch walki z korupcją, ale obawia się losu Chodorkowskiego” itp.

Owszem – Republika Czeska w międzynarodowej klasyfikacji korupcji zajmuje niechlubne 53. miejsce na świecie.

Ale Polska przegania ją o 12 miejsc.

## O urnie w kredensie

*[Ladislav Fuks, „Palacz zwłok”, tłum. Janusz Anderman i Tadeusz Lis]*

Pisze Polka, że jej syn wziął ślub z Czeszką. Zmarła babcia synowej (w domu opieki, mimo że mąż babci jeszcze żył i mieszkał z córką). Pogrzeb babci odbył się dwa miesiące po śmierci, bo córki nie miały czasu! Zmarł ojciec synowej, pogrzebu nie było, urnę z jego prochami trzyma u siebie za szybą w kredensie jego kochanka. „Odebrałam od moich wnucząt przyrzeczenie, że nie zrobią mi tego”

Pisze Czech, że ojciec trzyma swoją mamę dwunasty rok obok komputera na biurku.

Pisze inny Czech, że znajoma trzyma prochy męża na półce, a ponieważ był policjantem, na jego urnę nałożyła policyjną czapkę.



Takie listy zacząłem dostawać, kiedy w książce „Zrób sobie raj” napisałem o umieraniu w Czechach, gdzie 70 procent pochówków to kremacje. Ponieważ po uzyskaniu niepodległości w 1918 roku Kościół katolicki



(w aliansie z c.k. monarchią) zaczął być uznawany za jedną z głównych przyczyn zła w czeskiej historii, uciekano spod jego wpływów. Aby zmarłych nie grzebać w katolickiej tradycji, zaczęto w całym kraju budować krematoria, a w Pradze wybudowano największe w Europie. Powstał niemal masowy ruch popularyzacji spopielenia ciała. Stowarzyszenie Przyjaciół Kremacji stworzyło system wpłat, dzięki któremu jego członkowie mieli pewność, że będą po śmierci skremowani, gdyby na przykład rodzina nie chciała tego zrobić.

Postać palacza zwłok stała się figurą bardzo czeską. Bohater powieści Fuksa pan Karol Kopfrkingl jest wielbicielem kremacji, cieszy się, gdy ludzie uciekają od ziemi do palenisk i popiołu. „Celem całego mechanizmu – tłumaczy – jest to, by człowiek przemienił się w proch, żeby w spokoju i szybko wrócił tam, gdzie powstał”

Ale te powroty coraz bardziej się opóźniają.

Wchodzę na czeski portal o umieraniu.

Mirka pyta na forum, jak wytłumaczyć mamie, że pozostawienie urny z prochami taty w domu to nie jest najlepszy pomysł. Może ktoś podpowie, jak z mamą o tym rozmawiać?

Jana uważa, że mamie Mirki potrzeba czasu na rozstanie z mężem. Nie należy nalegać. Całe życie kogoś kochała i nagle nie ma go w domu? Może na razie chodzenie na cmentarz jest dla mamy Mirki zbyt ciężkie? Przyjdzie czas, że uzna, iż mąż powinien mieć już spokój. Są ludzie, którzy umieją ukochaną osobę położyć na cmentarzu i zaakceptować grób, ale nie wszyscy są tacy. Do tego trzeba siły.

Šárka pisze, że jej ojciec zmarł dwa lata temu i do niedawna jeszcze mieli go u siebie. Ich dom ma ogród i znalazłoby się tam godne miejsce na urnę. Mama dopiero po dwóch latach zdecydowała, że nadszedł już czas na pochowanie męża, ale tutaj to właśnie ona, córka, chciałaby tatę sobie zostawić.

Mirka, która pytała, jak mamę przekonać do pochowania taty, pisze też, że może wydać się komuś zupełnie pozbawiona wrażliwości, nie może bowiem patrzeć na urnę i nie jest w stanie jej dotknąć.

Istne antypody:

– ktoś musi być psychicznie silny, żeby ułożyć najbliższego człowieka w grobie, ale trzymanie go w domu takiej siły już nie wymaga;

– ktoś woli, żeby zmarły znalazł się w grobie, dlatego obawia się, że może być odebrany jako pozbawiony wrażliwości.

W tabloidzie „Blesk” – zdjęcie. Żona znanego czeskiego psychiatry i seksuologa Miroslava Plzáka siedzi obok stolika z urną w swoim mieszkaniu. Powiedziała gazetce, że jeszcze nie wie, kiedy urnę pochowa. Na razie kupuje mężowi róże do wazonu i puszcza ulubioną piosenkę. Pokazuje czytelnikom kartkę, na której małżonek już dwa lata przed śmiercią napisał, że nie życzy sobie żadnej formy pogrzebu. Ujawniła ten zapis celowo, żeby nikt nie posądził jej o to, że np. żałuje pieniędzy na pogrzeb. Gazeta spytała innego znanego seksuologa o sposób pochówku, jakiego by sobie życzył, i on także oznajmił, że nie chce żadnego pogrzebu.

„Tylko się nie oburzaj – pisze moja czeska wydawczyni Jarka Jiskrová. – Urnę Jiříego miałam w domu dwa tygodnie, w jego gabinecie, na jego biurku. Dopiero potem pochowałam go w rodzinnym grobie pod Pragę. Atmosfera w mieszkaniu się zmieniła: człowiek ma ochotę przywitać się rano z urną, rozmawiać z nią. Ma poczucie, że partner jest obecny, to wrażenie jest bardzo silne. Miałam wielki problem, żeby włożyć go do grobu. Jedyne, co mnie uspokoiło, to wielki spokój na cmentarzu w tym małym miasteczku, gdzie jest pochowany. Chyba człowiek to musi przeżyć, żeby zrozumiał. I dlatego panią Plzákovą bardzo dobrze rozumiem”

Powiem Państwu, że w pracy reportera najpiękniejsze jest to, że nawet za miedzą można trafić na antypody.

## **O szokującym syndromie kochanków**

*[Bohumil Hrabal, „Święto przebiśniegu”, tłum. Jan Stachowski]*

### **1.**

To książka, w której Hrabal opowiada o życiu ludzi w Kersku i okolicach, czterdzieści kilometrów od Pragi, gdzie miał między drzewami swój letni

dom. Opowiada o autentycznych osobach z autentycznymi nazwiskami; uważa się ją za rodzaj pamiętnika czy też reportażu.

Gdybym miał ją reklamować, napisałbym tak: „Dla wszystkich, którzy nie lubią życia i nie mogą znaleźć na to tabletki, ta książka może być ostatnią deską ratunku. Jeśli nie, to z Bogiem”.

Bo powiem szczerze, że ile razy wątpię w życie i jego sens (w Boską odpowiedź na moje zwątpienie zwątpiłem dawno), to uciekam się do czegoś w rodzaju zastępczego boga. Otóż pocieszenie znajduję w samej tylko myśli, że istnieje świat książek Hrabala – świat, w którym wszystko ma sens ze względu na swoje piękno, nawet okropności.

To jest mój bóg w zastępstwie.

Otwieram te książki na chybił trafił i zawsze znajduję coś pięknego (nie tylko zdanie, że „jak się człowiek uchleje, to w Kersku też jest Kilimandżaro”). Choćby zdanie znalezione przed chwilą w opowiadaniu „Pan Iontek” ze „Święta przebiśniegu”, gdzie pan Iontek namawia Hrabala, żeby umarł. Ale namawia go tak pięknie, że aż się chce umrzeć. „Wie pan – mówi Iontek – ja wygłaszam mowy pogrzebowe i byłoby mi strasznie miło, że jakby pan umarł albo się zabił, albo by pana zabili, gdybym to ja wygłosił tę mowę”.

Muszę przyznać, że poza Hrabalem na mój lęk przed śmiercią i brak sensu skutecznym chwilowym znieczuleniem są też koty. Kiedy widzę kota, dziecinnieję natychmiast bez względu na okoliczności. A jak się jest dzieckiem, to ma się daleko do śmierci. I w tym zbliżam się do pana Hrabala, bo bez kotów też nie czuł się dobrze.

Jest w „Święcie przebiśniegu” rozdział „Koty i ludzie”, którego dwie bohaterki Lucynka i Paulina lubiły sypiać w gospodzie pod piecem, gdzie wzdychały, przeciągały się, „a cała gospoda była dla nich jakby matką, przebierały łapkami, drepcząc w powietrzu, z którego ssały słodkie, nieistniejące mleko w postaci papierosowego dymu”.

Prawie do samej śmierci Hrabal jeździł codziennie ze swojego bloku w Pradze do Kerska, żeby nakarmić koty i pisać. Przy nich przeżywał coś, co nazwał „szokującym syndromem kochanków”, i jak twierdzi jego biograf Tomáš Mazal, koty były przez wiele lat po śmierci żony jedynym powodem

jego życia. Potrafił uchlewać się i sikać w kącie na korytarzu swojego bloku w Pradze, ale podkreślał, że musi rano być w dobrym stanie, aby wsiąść do autobusu i zawieźć kotom jedzenie, a potem rozdzielić je jak dzieciom.

Żeby obejrzeć w Kersku sławne koty Hrabala, a właściwie ich wnuki, kilka lat temu zorganizowano tam nawet wycieczkę z Polski za 1200 zł od osoby.

## 2.

Każdy autor ma kilka takich pereł, które są piękne, lecz nie pasują do żadnego naszyjnika. Przez długi czas nie wie, na jakim sznurku mógłby je zawiesić. Też mam takie zdanie perłę, które nigdy mi do niczego nie pasowało, a do tego kobieta, która je wygłosiła, zastrzegła, że ujawnić je mogę dopiero po jej śmierci.

Chodzi o czeską poetkę Violę Fischerovą. Kiedy półtora roku temu praskie targi książki odwiedziła Wisława Szymborska, do poprowadzenia rozmowy szukano poety na poziomie noblistki i wybór padł na Violę. Znaliśmy się i raz przy winie opowiadała mi o swoim życiu, oznaczając każde wspomnienie odpowiednią naklejką: „O tym możesz napisać po mojej śmierci”; „O tym możesz napisać za mojego życia”; „O tym nie możesz pisać nawet po mojej śmierci” (oczywiście zamierzam dotrzymać warunków).

Viola Fischerová (być może największa czeska poetka XX wieku) zmarła przed rokiem. No i z grupy „O tym możesz napisać po mojej śmierci” mam zdanie, które nie pasowało mi do niczego, a nagle dziś, z okazji tego felietonu, bardzo nadaje się do zacytowania:

– Bo wiesz, ja miałam romans z Hrabalem, ale ten seks z nim to była męczarnia, ponieważ jak on kładł się na mnie, to na niego wchodziło zaraz to stado kotów i musiałam ich wszystkich wytrzymać na sobie.



## O gospodzie pełnej idiotów

*[Bohumil Hrabal, „Peretki na dnie”, tłum. Jan Stachowski, Edward Madany, Cecylia Dmochowska, Andrzej Czibor-Piotrowski]*

### 1.

Kultura czeska, proszę Państwa, nie ma większego szkodnika niż Hrabal.

Bohumil Hrabal wprowadził do czeskiej literatury człowieka, z którego słowa wylewają się cały czas, nie tylko przy piwie. „Jest zajęty swoim wewnętrznym monologiem, z którym chodzi po świecie jak paw z pięknym ogonem” – tak charakteryzował swojego bohatera. Nazwał go pábitel. Pábení to takie gadanie, które wszystkich wprawia w poczucie, że nawet obrzydliwe życie jest cudowne. (Ten rys naiwności w twórczości pisarza jest wprost nieznośny).

Pábitelé – czyli całe „błogosławione towarzystwo pijących piwo” – to

ludzie, którzy poruszają się na granicy śmieszności. Do tego prawie zawsze wyrażają się niegramatycznie. Wymykają się stereotypom, a jednocześnie wśród czytelników książek Hrabala na całym świecie tworzą stereotyp Czecha jako przygłupa.

Odpychające słowo. Odpychająca koncepcja. A jeszcze bardziej odpychający mit. Pábení jest przesiąknięte jowialnością, czeską gospodą, tradycją Szwejka. Aspiruje do niezwykłości i bezczelnie maskuje swoją przeciętność i miałość zarazem.

Prości ludzie – te jego „perełki na dnie” czy też dziwacy „z perełką na dnie” – na czele z wzorcem wszystkich pábitelí, czyli stryjem pisarza Pepinem, przechadzają się niemal po wszystkich jego tekstach. Groteskowo zniekształceni (jak w klipie „Jožin z bažin”), ale zawsze godni podziwu, bo perełki najlepiej błyszczą, gdy wpadną do piwa.

Pábitela nie interesuje nic wzniosłego. Nie wstanie od stołu, żeby się buntować, bo tkwi w piwnym błogostanie. Pábitel widzi własny nos, który wisi nad kuflem piwa, a jeśli czuje jakieś zapachy, to głównie woń gotowanej kapusty – zapach Europy Środkowej. Jednak Hrabal pábitela zawsze uszlachetni, zawsze nada mu znaczenie, choćby zdaniem: „Kto chce żyć w Europie Środkowej, musi być trochę wstawiony”.

Odpychający jest dla mnie ten Hrabalowski koncentrat knajpianej ludowości, który pijackie pieprzenie opiewa jako kategorię estetyczno-filozoficzną, bo przecież każdy człowiek jest na swój sposób piękny, tylko o tym nie wie. A w knajpach latają w powietrzu nie kufle, tylko obrazy jak ze snu. Ulubiona zaś czynność bohaterów Hrabala, czyli ponadprzeciętne obżarstwo, zamienia się – jak powiedział jakiś wielbiciel książki „Obsługiwałem angielskiego króla” – w groteskowe piękno zwyczajnych ludzi. Naprawdę odpychający są ci bohaterowie, którzy potrafią się wsłuchiwać w filozoficzne mowy, żeby zaraz potem zrzygać się na stół.

Z jego książek sypią się zdrobnienia rzeczowników gastronomicznych, jakby miały z góry pozyskać sympatię czytelnika dla wszechobecnego uzależnienia od picia i jedzenia: „knajpeczka”, „gospodusia”, „mięsko”, „szyneczka”, „piweczko”, „piwunio”..

Przyjemnie wiedzieć, że prezydent Klaus też ma o Hrabalu swoje zdanie.



Uważa, że jego literatura, opiewająca ludzi z marginesu społecznego, jest upozowana i fałszywa.

## 2.

W ten sposób poznali Państwo, spisana przeze mnie z prasy w Czechach i usłyszana od znajomych, całą armię argumentów umniejszających największego czeskiego pisarza. Dzięki Bogu, tych, którzy go kochają, jest więcej. Dlatego teraz proszę przeczytać ten felieton jeszcze raz, zamieniając wyrażenia i słowa na inne:

„szkodnik” na „skarb”;

„wprost nieznośny” na „wciąż atrakcyjny dla nowych pokoleń czytelników”;

„przygłup” na „filozof codzienności”;



„odpychający” na „piękny”;  
„bezczelnie maskuje” na „z talentem miesza”;  
„przeciętność” na „zwyczajność”;  
„miałkość” na „magię”;  
„pijackie pieprzenie” na „rozmowy prostych ludzi”;  
„Klaus” na „Havel”,  
„ludzi z marginesu społecznego” na „niesformatowanych”;  
„upozowana” na „powabna”;  
„fałszywa” na „szczerą”.

I w tytule tego felietonu: słowo „idioci” na „oryginały”

Bo wszystko, co wyżej napisałem na temat pábitelí NAM SIĘ PODOBA.

Jeszcze à propos zrzygania się na stół po filozoficznej mowie. Ideałem literatury było dla Hrabala „brylant położyć obok trypra”. I jak zauważył niedawno jeden z czeskich eseistów, który zastanawiał się, co przetrwało piętnaście lat po śmierci pisarza: „Świat jest pełen przeciwieństw, ale tylko ktoś, kto je z obu stron do siebie dopuści i zaakceptuje, może żyć w pełni i swobodnie”.

## O kurczaku à la Havel

*[Jiří Brdečka, „Lemoniadowy Joe”, przeł. Cecylia Dmochowska]*

Chciałem napisać, że „Lemoniadowy Joe” to opowieść o tym, że szklanka lemoniady może być oceanem namiętności. Ta parodia powieści kowbojskiej wychodziła w czeskim czasopiśmie „Ahoj” podczas wojny. Zabawna książka o kowboju idealistycznym, który walczy o abstynencję, wzbudziła sensację w okupowanych przez hitlerowców Czechach i już samo to wydaje się czystym surrealizmem.

Chciałem napisać, że córka autora, rysownika Jiříego Brdečki, wyjaśniła mi w liście, że tata o śmiechu nigdy nic specjalnego nie mówił, ale należał do pokolenia, które „żyło śmiechem, bo przecież czasy były bardzo ciężkie”.

Chciałem zacytować okupacyjne czeskie porzekadło: „Kto się śmieje, pokazuje zęby”.

Chciałem przytoczyć napis z podziemnego plakatu, który w latach 80. poświęcono jednemu z najbardziej represjonowanych w ČSR antykomunistów (Ivanowi Martinowi Jirousowi). Kiedy siedział w najcięższym więzieniu, koledzy z wolności poprosili, żeby w grypsie napisał jedno zdanie, które miałoby widnieć na plakacie. I Państwo sobie wyobraź, nie napisał nic o ojczyźnie, nic o złym komunizmie, walce. Napisał: „Ważne, aby nie znikła radość”

Chciałem zacytować dla odmiany komunistę, i to największego komunistę w czeskiej historii – Juliusza Fučíka, który w swoim testamencie z 1943 r., zanim stracili go naziści, zdążył napisać: „I jeszcze raz powtarzam: żyliśmy dla radości”. Mógł napisać, że „za wolność szliśmy do walki”, przecież podczas hitlerowskiej okupacji czeski ruch oporu istniał, ale Fučík napisał: „Za radość szliśmy do walki i za nią umieramy”. „Dlatego niech smutek nigdy nie łączy się z naszym imieniem” – zakończył.

Chciałem pochwalić się nowymi odkryciami. Dostałem od przyjaciela album o czechosłowackim i polskim plakacie filmowym, gdzie film „Sklep przy głównej ulicy” na polskim plakacie to „dramat psychologiczny”, na czechosłowackim – „tragikomedia”. Film „Miłość blondynki” polski plakat określa jako „słynny dramat psychologiczny”, plakat czechosłowacki – jako „komedię filmową”. Plakat do filmu „Morgiana” Juraja Herza w czechosłowackiej wersji ma kobietę roześmianą, w polskiej – przerażoną, z trupią czaszką na głowie.

Chciałem zacytować przedwojenny reportaż Wańkowicza („Fabryka śmiechu”), w którym przytacza on polskie przysłowia ze słowem „zabawa” i „uciecha” (raptem siedem), a większość z tych przysłów ma dla zabawy tylko słowa potępienia. „Nie, to nie zabory są winą braku umiejętności zbiorowego weselenia się – napisał Wańkowicz. – Ja sądzę, że to brak mieszczaństwa, górne tony wprowadzone przez kulturę szlachecką, narzucany przez tę kulturę snobizm i pojęcie zabawy jako stanu ekstra?...”

Chciałem... Do czasu, kiedy dowiedziałem się o śmierci Václava Havla.



Wczoraj odbył się pogrzeb Największego Czecha, na który pojechałem jako wysłannik „Gazety”. Wydało mi się, że nie wypada dziś pisać o czeskim śmiechu, mimo że to felieton wokół książki Jiříego Brdečki.

Wydawało mi się tak tylko przez chwilę. Ośmieliło mnie, kiedy zacząłem oglądać czeską telewizję. W ČT24 – wywiad z poetą Františkem Novotnym. – Havel – powiedział – tak jak my wszyscy uważał, że zło pokonamy humorem.

Przeglądałem internet. Ktoś upublicznił przemówienie Havla, kiedy jako nowy prezydent objeżdżał w 1990 r. większe miasta kraju i trafił do Pardubic. Przemawiał obok pomnika Lenina, który stał do Havla tyłem. – Widzę tu żelaznego pana, patrzącego w inną stronę niż ta, gdzie ja stoję. Może mnie nie lubi, ale już nic nie da się z tym zrobić – powiedział prezydent i rozśmieszył tłum. Zaznaczył też: – To, co powiedziałem w Hradcu Králové, mówię i tu, w Pardubicach, ponieważ ostrzegano mnie, że jakakolwiek asymetria może wywołać wybuch wojny” (aplauz). Tak rodziła się ludzka twarz polityki. Potem karierę robiło zdanie Havla, które często powtarzał: „Prawda i miłość muszą zwyciężyć nad kłamstwem i nienawiścią”.

Na innym kanale oglądałem ostatnią scenę z filmu „Odejścia” – debiutu reżyserskiego Havla, który nakręcił w wieku 74 lat. Już po napisach końcowych widzimy wodę w sadzawce i nagle z toni wyłania się głowa Havla, który mówi do widzów: „Dziękuję, że wyłączyliście telefony komórkowe. Prawda i miłość muszą zwyciężyć nad kłamstwem

i nienawiścią. Włączcie swoje telefony” – i chowa się pod wodą.

A jaką scenkę wymyślił na rozpoczęcie swojej sztuki „Festyn”! Hugo gra sam ze sobą w szachy. Za każdym razem, gdy ojciec pyta go, jak mu idzie, mówi, że fatalnie. Potem pyta go o to samo matka – Hugo odpowiada, że świetnie.

Koleżanka havlolożka Ela Zimna przypomina mi, jak na promocji swojej książki udawał, że pomylił przemówienia, i zaczął czytać podziękowanie za przyznanie mu doktoratu honoris causa albo powitanie królowej.

Dziesięć lat temu pan Krzysztof Zajdel, nauczyciel z Wilkszyzna, dostał od urzędującego prezydenta Havla przepis na kurczaka.

Postanowił wydać książkę „101 potraw znanych osobistości z Polski i ze świata” i zaczął pisać do różnych sław. „Sam pan wie, jak to jest, kiedy pisze ktoś z wiejskiej szkółki do osoby znanej” – wyznał, kiedy poprosiłem o szczegóły. „Napisałem do prezydenta Rosji, Ukrainy, Białorusi, bo moim marzeniem było pokazanie, że jesteśmy normalnymi ludźmi, że przy stole wszyscy mogą usiąść. Z tych osób jedynie prezydent Czech mi odpisał. Taki np. już nie prezydent, ale znany aktor Pierce Brosnan odpisał (to znaczy jakiś jego sekretarz), że mogę kupić koszulkę z jego portretem lub zdjęcie (za jakąś znaczną kwotę), a autograf aktora dostanę w specjalistycznych sklepach”.

Kurczaka à la Havel (którego prezydent sam wymyślił) przygotowuje się tak: ptaka dzielimy na cztery części, nacieramy smalcem i solimy. Pieczemy w piekarniku 20–30 minut. Z szyjki i skrzydełek gotujemy odrobinę bulionu. Bulion mieszamy ze szklanką białego wina, dwiema łyżkami miodu, dwiema łyżkami sosu sojowego, majerankiem, oregano, pieprzem, wegetą i łyżeczką mielonego imbiru. Do tak powstałego sosu dodajemy posiekane dwie papryczki chilli. Sosem polewamy podpieczonego kurczaka i wkładamy znów do piekarnika, żeby się dopiekł.

Cechą Havla, którą w badaniu opinii sprzed kilku dni wymienia najwięcej Czechów, jest m.in. „ludzki”. Dlatego nie dziwi mnie, co mówił do tłumów w Pradze bard Vladimír Merta. W niedzielny wieczór, kilka godzin po wiadomości o śmierci Václava Havla, prowadził na praskiej wyspie Kampa zaimprovizowany wieczór na cześć zmarłego. „Przyjaciele! – powiedział. – Nie bądźcie smutni. Najlepiej położyć się obok kochającej

kobiety i tak zabić żal”

## O życiu w bajce

*[Vladislav Vančura, „Kapryśne lato”, tłum. Józef Waczków]*

Przed tygodniem z włoskiego czasopisma dostałem pytanie z prośbą o odpowiedź mailem. (Żeby Państwo wiedzieli, ile do autora, który raptem dwa tytuły wydał w kilku krajach, przychodzi pytań... Ostatnio z Ukrainy: „Czy może pan powiedzieć, kiedy Ukraina stanie się Europą?”; z Czech: „Dlaczego my, Czesi, mamy chłodny stosunek do swoich bohaterów?”; z Hiszpanii: „Jaka jest przyszłość Europy?”. Powiem szczerze: gdybym był głupszy, tobym odpowiadał na wszystkie).

Natomiast pytanie z włoskiego „Qui Touring” bardzo mnie ucieszyło, bo jest osobiste, a na sobie się znam lepiej niż na Europie: „Dlaczego zdecydował się pan pisać o ludziach, a nie o miejscach?”

Odpisałem, że nie ma niczego ciekawszego niż drugi człowiek, a miejsca zawsze tworzą ludzie. W Moskwie są ogromne odległości, ulice są szerokie jak 20 ulic w Rzymie, drzwi do stacji metra tak wielkie, że ledwo je można otworzyć, a jak ktoś puści, to mogą człowieka przewrócić. Czułem, że Moskwa mnie gwałci. To mówi coś o ludziach i wtedy mnie ciekawią ci ludzie. Jeśli w Czechach każde miasteczko chce wyglądać, jakby było z bajki, też coś to mówi o tamtejszych ludziach. I ja wtedy jako reporter chcę tych ludzi poznać.



Krokovy Vary z „Kapryśnego lata” Vladislava Vančury to właśnie czeskie miasteczko „z bajki”, tyle że literackie: „uzdrowisko dziewiątej klasy o nieodpowiednim zachmurzeniu”, „miasto o wątpliwej wartości i dobrej zdrowotności”. A rozmówki, które tu się toczy, „śmierdzą niemal całkowitą przeciętnością swego środowiska”.

Ale... Vladislav Vančura był eksperymentatorem i w tej rozkosznej opowieści o namiętnościach, którą przeczytacie w dwie godziny z poczuciem zanurzenia się w bitej śmietanie, zagrał sobie stylem dotąd niespotykanym. Otóż był rok 1926 i pisarz stworzył parodię powieści drobnomieszczańskiej. Zaprzął swoich bohaterów do cudnych barokowych dialogów. O największych banałach mówią tu stylem uprzejmym i wyszukany.

Akcja dzieje się w ciągu trzech czerwcowych dni i burmistrz, żeby skonstatować, że nadchodzi czerwiec i zaczyna się sezon, mówi na przykład: „Nasza starożytna osada w pośpiechu i szlachetnym współzawodnictwie dobija do mety, do czerwca, szóstego miesiąca roku, nie spóźniwszy się i spokojnie czekając swojego terminu...”. A jak konstatują godzinę 10.00! „Czy nie cieszy pana ta dziesiąta godzina, co właśnie spada ze starodawnej wieży bazyliki świętego Wawrzyńca?”

Czeskie i morawskie miasteczka „z bajki” istnieją nie tylko w literaturze. Jeśli ktoś ich nie zna, to proponuję wycieczkę, jaką kiedyś odbyłem rowerem: Jičín – České Budějovice – Žďár nad Sázavou – Valtice – Lednice – Mikulov.

W trakcie takich wakacji od razu zapragniecie życia w miasteczku



na ludzką miarę. Choć przyznam, że i w Pradze słyszę, że jest to miasto, które służy człowiekowi. Zawiera w sobie wszystko, co trzeba: centrum historyczne, małe miasteczka, wsie, wiejski sad, osiedla typowe dla uzdrowisk i oczywiście blokowiska. Rozmawiałem z kilkoma polskimi ekspatami, którzy bardzo się starali, by korporacje przeniosły ich z Londynu, Moskwy czy Nowego Jorku właśnie do Pragi. – Bo w tej Pradze – przekonywali – jest jakoś swojsko i prowincjonalnie.

Na przykład na klatkach schodowych człowiek czuje się sympatycznie, bo wszyscy jak w małym miasteczku mówią sobie „Dzień dobry”. Nawet gdy się nie znają.

Pomieszkowałem w Pradze w 17 mieszkaniach (na stałe mieszkam w Warszawie). Rzeczywiście wszędzie każdy mi mówił „Dzień dobry” jako pierwszy. I staruszki, które nie rozpoznawały mojej twarzy, i nawet wyrostki z opuszczonym krokiem, które sprawiały wrażenie, jakby „Dzień dobry” nie należało do ich języka, ale do któregoś z azjatyckich. A jednak nie, „Dobry den...” wyrzucali spod kapturów.

Wciąż nie wiem, gdzie jest źródło tego zachowania. U nas, w Warszawie, „Dzień dobry” na klatce schodowej powie może co drugi człowiek, i to tylko wtedy, gdy się osobiście znamy.

Ale w Czechach panuje wręcz jakiś terror „Dzień dobry”. Oni od „Dobry den...” zaczynają nawet SMS-y!

W jednej z czeskich gazet zaapelowałem więc, że jeśli ktoś zna psychologiczne powody takiego zachowania, chętnie o nich przeczytam. Drobnomieszczaństwo? Obawa o to, co o nas ludzie powiedzą? Lepiej pozdrawiać, bo dzięki temu będzie się lepiej żyć?

Zagadnąłem o to pisarkę Markétę Pilátovą (niedawno wyszła u nas jej książka „Żółte oczy prowadzą do domu”, którą polecam, bo jest o tęsknocie do Czech). Odparła, że chodzi o dobre wychowanie: – Matki nam wmawiają, że mamy każdego pozdrowić, nawet gdy go widzimy na schodach pierwszy raz w życiu.

Ale czy nas, Polaków, matki nie wychowują do grzeczności? – Mnie się ten zwyczaj bardzo podoba – odparłem Markécie – chociaż mam przeczucie, że czai się za nim coś głębszego niż uprzejmość. Postawa czeska: być



grzecznym dla wszystkich? Postawa polska: nie być grzecznym dla wszystkich?

Jednej z możliwych odpowiedzi na temat Czechów dostarczył mi przenikliwy Polak: – Żadne dobre wychowanie. Czesi muszą się wszystkim kłaniać, bo są strachliwi. Na wszelki wypadek bądź miły dla każdego, bo nie wiesz, czy ten człowiek nie jest dla ciebie zagrożeniem. Przypodobaj się wszystkim. Oni to mają w genach.

Jednej z możliwych odpowiedzi na temat Polaków dostarczył mi przenikliwy Czech: – Tłumaczyć należy to polskim wielkopaństwem i poczuciem wyższości. Polak jest dumny: nie będę się wszystkim naokoło kłaniał i przed nimi poniżał. Niech mi się oni pierwsi kłaniają!

A może niepotrzebnie doszukuję się siódmego dna?

## O symulacji grzeczności

Siódmego dna pomogli mi doszukać się czytelnicy. Kiedy opublikowałem ten felieton w „Gazecie”, nadeszły glosy, że mówienie „Dzień dobry” to niekoniecznie logo Czechów (jak wyraziła się pani Julita Rukert). Wielu pisało o Niemcach, którzy mówią „Dzień dobry” na każdym kroku, a to „też – jak Polacy – naród panów”. Tak samo Hiszpanie; pan Stasiak pracował tam 700 dni i zaświadcza, że w windach zawsze mówią sobie „Dzień dobry”.

Wiem, drodzy Państwo, wiem to od samego początku. Chciałem tylko pokazać, że jeden „pan” czuje się jak „nadpan” i uważa, że zwalnia go to z uprzejmości. I wtedy to już nie pan, tylko cham. Jak zauważyła pani Zofia Grzelak, poziom mówienia „Dzień dobry” w Czechach świadczy o tym, że nie trzeba arystokracji, żeby ludzie byli dobrze wychowani.

Państwo Kurzawowie, których córka wyszła za Czecha, napisali, że czeska rodzina zapytała ich kiedyś, dlaczego w całej Europie na granicy państw są tablice, np. „Niemcy”, „Francja”, „Dania”, „Republika Czeska” itd., a na polskiej granicy widnieją tablice „Państwo Polskie”. „Pytano nas, dlaczego na tablicy nie jest napisane po prostu »Polska«”. Według Czechów wynika to z dumy Polaków, że to nie tylko sama Polska, ale Państwo

Polskie. Chyba to miał też na myśli »Przenikliwy Czech«, na którego opinię Pan się powołał, nazywając to wielkopaństwem?”



„Nie od dziś wiadomo, że Czech to taki słowiański Żydek, a więc ugrzeczniczony fałszywiec, interesowny podlizuch, a także... (tu wpisać inne cechy stanowiące o nikczemności obu nacji). W dodatku niemal od stu lat wiemy, że – cytuję z pamięci – GANZE TSCHJECHISCHE VOLK IST EINE GROSSE SIMULANTENBANDE (wszyscy Czesi to wielka banda symulantów). Zatem i symulacja grzeczności nie przychodzi mu z trudem” – ironicznie rozwiązuje zagadkę pan Piotr Ambroziewicz, nawiązując do wypowiedzi „Przenikliwego Polaka”

„A Polak – dodaje – to szczerą, poczciwą duszą. Ponieważ nie życzy dobrze nikomu poza sobą, więc po jaką cholere ma oszukiwać i udawać uczucie, którego w nim nie ma?”

Dwie opowieści zwróciły moją uwagę i zacytuję je w całości:

„Byłam w Pradze w połowie października 2011 roku u córki, która wtedy tam pracowała. Wynajęła pokój u dziewczyny, którą poznała przez internet. Ja oczywiście też tam na tydzień mojego pobytu zamieszkałam. Codziennie sama wychodziłam z mieszkania, żeby zwiedzać Pragę. Jakież było moje zdziwienie, kiedy każda spotkana osoba na klatce czy w windzie mówiła mi »Dzień dobry«. Tak jak Pan napisał, wiek nie miał znaczenia, ani odległość, w jakiej się znajdowałam. Po dwóch takich dniach zorientowałam się, że u nich tak jest, i sama też zaczęłam się wszystkim kłaniać. Kto tylko się nawinął, ja starałam się być szybsza i »Dobry den«. To wspaniałe uczucie dla mnie tak się zachowywać. Nieważne, z jakich pobudek tak robią. Uważam, że to podłe twierdzić, że ze strachu. Staram się to stosować u siebie w klatce, gdzie mieszkam od 21 lat. Przykro to przyznać, ale z marnym skutkiem. Mam 53 lata. Młodym mówię »Cześć«, starszym »Dzień dobry«. Myślę, że Polakami kieruje to, o czym Pan napisał. Widzę to niestety po moim mężu. Sam 26 lat pływał jako marynarz i poznał wiele ludzkich zachowań. Opowiadał zawsze, jacy to uprzejmi ludzie mieszkają na Zachodzie. Jak widząc go, nawet kilka razy dziennie, w czasie pracy na statku mówią »Cześć« w różnej formie. Dodam, że pracował jako cheff, a nie kapitan, więc nie o rangę chodziło. Biadał nad tym, że u nas tak nie jest. Ale kiedy powiedziałam: »Zaczynij od siebie i tak się zachowuj«, oj, co to, to nie! Nie ma mowy!

Tak więc, Panie Mariuszu, nawet kiedy idziemy razem, ja się kłaniam, a on nie. Sąsiedzi przyzwyczaili się, że to ja im się kłaniam zawsze pierwsza i kiedy się spotykamy, czekają na moje »Dzień dobry«. Patrząc na ich miny, odnoszę wrażenie, że też uważają, że z jakiegoś powodu to ja powinnam już zawsze mówić im to »Dzień dobry« pierwsza. Czują się ważni albo ich to nobilituje w jakiś sposób. Dla mnie nie ma to żadnego znaczenia, robię swoje dla mojego dobrego samopoczucia. Dlatego tak mnie prężanie rozczulili i poczułam się jak jedna z nich. Bardzo żałuję, że moja córka zrezygnowała z pracy i mieszkania w Pradze, bo ja bardzo chętnie bym tam do niej jeździła. Ma możliwość powrotu, dlatego modlę się (w cudzysłowie), że kiedyś zmieni decyzję i tam wróci. Na razie woli ciepłe kraje, gdzie nie ma zim takich jak u nas, np. Karaiby, gdzie pojechała teraz. Ja lubię

Czechów, swojsko się tam czuję, dogadać się można, trafić łatwo. Trochę jak u siebie, ale ładniej i lepiej. Tam mam poczucie bezpieczeństwa, ponieważ nie znam języków, to w innych krajach jestem zdana na moją córkę. Dlatego w Pradze byłam taka dumna z siebie, że byłam samodzielna, i zwiedzałam do 18.00 miasto sama, kiedy ona była w pracy.

Viola M. z Łodzi.

Drugi list opowiada o kimś podobnym do męża pani Violi:

„Mam 56 lat, jestem sklepikarzem, od wielu lat prowadzącym sklep budowlany w Gdańsku. W sklepie potrzebny jest pomocnik. Przez lata przewinęło się ich mnóstwo. Któregoś lata zaczął mi pomagać przy sprzedaży 18-letni uczeń liceum, daleki krewny. Znałem go dosyć pobieżnie, wspólna praca miała między innymi nas zbliżyć. Michał, chłopak wielkiej postury, przemieszczający się po sklepie z szybkością zaprzeczającą posiadanej masie, wzbudzał mój niepokój o bezpieczeństwo farb ułożonych na półkach. Mój sklep jest dosyć znany w dzielnicy i w sezonie odwiedza go dużo klientów. W pewnym momencie zauważyłem, że Michał do każdego wchodzącego klienta mówi pierwszy »Dzień dobry«, a do wychodzącego pierwszy wypowiada »Do widzenia«.

Z początku nie reagowałem, po pewnym czasie zacząłem się jednak nad tym zastanawiać. Tym bardziej że muszę przyznać, iż takie wyprzedzające powitanie i pożegnanie nie było dotąd moim zwyczajem.

Przeszło mi przez myśl, że Michał się może wygłupia czy coś takiego. Młody, inteligentny człowiek robi jakieś jaja. Po kilku godzinach nie wytrzymałem i zapytałem o przyczynę wyprzedzającego »Dzień dobry«.

Odpowiedział bez zastanowienia, że to grzecznie i że zawsze tak robi. Po prostu.

Naprawdę mnie wtedy zadziwił i zmusił do zastanowienia.

Było to dobrych kilka lat temu.

Panie Redaktorze, ten młody człowiek na zawsze zmienił moje zachowanie. Od tamtej pory każdego klienta wchodzącego do sklepu, bez względu na to, czy jest mi znany, czy nie, wyprzedzam powitaniem. Weszło mi to w nawyk i nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej. Powiem Panu

jeszcze jedną rzecz. Wielokrotnie klienci z sympatią mi mówią, że są zdziwieni, że w sklepie wita ich pierwszy sprzedawca. Ba, niektórzy się żalili, że mimo starań i myślenia o tym nie są w stanie mnie wyprzedzić w wypowiedzeniu tej sympatycznej formuły.

Wynika z tego, że ktoś powinien nam o tym powiedzieć, jeżeli nie zrobili tego rodzice. Nigdy nie zapytałem się Michała, kto go tego nauczył. Michał bardzo dobrze sobie radzi, pracując jako kierownik w dużym, sieciowym markecie. Często o tym zdarzeniu z przyjemnością opowiadam na spotkaniach towarzyskich i dzisiaj cieszę się, że mogłem się z Panem tym wydarzeniem podzielić.

Zbigniew W.

## **O pomyłce w felietonie „O bajce”**

Piękne cytaty z „Kapryśnego lata” pochodzą z genialnego tłumaczenia Zdzisława Hierowskiego, rocznik 1911, który zmarł 44 lata temu. Był redaktorem naczelnym kwartalnika „Śląsk Literacki” i warto jego nazwisko odnotować, bo eksperyment Vančury jest trudny jak cholera. Jednak Agora wydała wersję w tłumaczeniu Józefa Waczkowa. Od Hierowskiego dzieliło go pokolenie.

Nie wiem, dlaczego mój mózg faktu wydania przekładu Waczkowa początkowo nie przyjął. Ale skoro tak się już stało, postanowiłem nie poprawiać poprzedniego felietonu, tylko wzbogacić czytelników obiema polskimi interpretacjami Vančury. Bo w przypadku języka tej noweli można mówić raczej o interpretacjach, a nie o prostym przekładzie.

Mogą Państwo porównać pracę dwóch tłumaczy, bo pokażę teraz cytaty, użyte w poprzednim felietonie, także w wykonaniu Józefa Waczkowa; dla sprawiedliwości raz zacznę od Hierowskiego, raz od Waczkowa:

Hierowski: „miasto o wątpliwej wartości i dobrej zdrowotności”;  
Waczków: „miasto chybionej architektury i niechybnego zdrowia”

Waczków: „zalatują przeciętnością niemal absolutną”; Hierowski: rozmówki „śmierdzą niemal całkowitą przeciętnością swego środowiska”

Hierowski: „Nasza starożytna osada w pośpiechu i szlachetnym współzawodnictwie dobija do mety, do czerwca, szóstego miesiąca roku, nie spóźniwszy się i spokojnie czekając swojego terminu”; Waczków: „Nasza osada wśród krzątaniny i szlachetnej rywalizacji bez najmniejszych opóźnień, jak ulał co do godziny wkracza w czerwiec z nastaniem szóstego miesiąca roku”

Waczków: „Czy nie raduje nas tych dziesięć uderzeń, które oto spływają ze starożytnej wieży bazyliki świętego Wawrzyńca?”; Hierowski: „Czy nie cieszy pana ta dziesiąta godzina, co właśnie spada ze starodawnej wieży bazyliki świętego Wawrzyńca?”

Z pewnym miłośnikiem literatury przeprowadziliśmy kiedyś mecz między Hierowskim a Waczkowem – każdy stawiał punkt temu, którego zdanie mu się bardziej podoba. Jeśli mają Państwo na taką zabawę ochotę, dodam troszkę materiału. Rozgrywa Hierowski:

„Patrzcie, oto gałęźą się korony drzew...”

A Waczków: „Proszę, oto listowie...”

Hierowski: „Niekiedy przychodzi czas na robienie głupstw”; Waczków: „Jest niekiedy czas i na pustoty”

Waczków: „Kiedyż literatura piękna wyjdzie poza burdy i burdele?”; Hierowski: „Kiedyż literatura piękna wyjdzie nareszcie z bajzłów?”

Hierowski: „Kiedyż usłyszę o szlachetnych cierpieniach duszy, kiedyż coś wyczytam o konfliktach wewnętrznych?”; Waczków: „Kiedyż znowu usłyszę o szlachetnych cierpieniach duchowych, kiedyż doczytam się, że ktoś turbuje się z sobą samym?”





Tłumaczka moich książek na czeski pani Helena Stachová uważa, że „Kapryśne lato” jest „genialnie nieprzekładalne”. Vančura użył wyrazów, które były archaiczne w jego czasach, a dziś archaiczne są i wyrazy, które jego czasy uznawały za współczesne. Nie jest jasne (przynajmniej dla mnie), dlaczego Józef Waczków przetłumaczył dzieło już przetłumaczone (nie dowiem się, bo tłumacz zmarł osiem lat temu). Są momenty, kiedy ewidentnie nowelę uwspółcześnia, a są takie, gdzie archaizuje.

A jak już tak pięknie taplamy się w kulturze literackiej, to warto wiedzieć, że „Kapryśne lato” zawiera sławne zdanie, które umie powtórzyć chyba każdy wykształcony Czech. I powtarza, gdy lato sprawia mu zawód. Zdanie to u Hierowskiego brzmi: „Ten rodzaj lata wydaje mi się trochę niefortunny”, a u Waczkowa: „Ta postać lata wydaje mi się niezbyt szczęśliwa”.

Wybór zostawiam Państwu, a dla mówiących po czesku oryginał: „Tento způsob léta zdá se mi poněkud nešťastným”.



## O czułości i butach

[Bohumil Hrabal, „Pociągi pod specjalnym nadzorem”, tłum. Andrzej Czibor-Piotrowski]

### 1.

Odtwórcę głównej roli w filmie „Pociągi pod specjalnym nadzorem” zatwierdził sam Hrabal. Václav Neckář – lat 22 – okazał się jak wyjęty z głowy pisarza. Kiedy reżyser „Pociągów...” Jíří Menzel zobaczył go po raz pierwszy, ten mały i chudy brzydkał wzbudził w nim takie współczucie, że chciał mu zaraz dać pięć koron.

W rezultacie debiutant, którego nigdy nie przyjęto do szkoły filmowej (próbował cztery razy), zagrał główną rolę w filmie, który Ameryka nagrodziła Oscarem. Co więcej – w filmie, który na chwilę przed końcem XX wieku i chwilę po trafił do światowych zestawień najlepszych filmów stulecia. Ponoć Dustin Hoffman zdecydował się na przyjęcie roli w „Absolwencie” dopiero wtedy, gdy zobaczył Neckářa w „Pociągach...”

Tak w 1966 r. wystartowała kariera aktora i piosenkarza, którego Menzel obsadził potem w „Skowronkach na uwięzi” (filmie aresztowanym na 20 lat) i któremu jury festiwalu Sopot '78 przyznało pierwszą nagrodę za wykonanie piosenki „Ten chléb je tvůj i můj”. Momentami był tak popularny jak Karel Gott, czyli czeski Złoty Słowik i wszechidol. A kiedy u boku Heleny Vondráčkovéj Václav zagrał księcia w filmowej bajce „Bardzo smutna księżniczka”, narody czeski i słowacki na lata otoczyły go czułością.

### 2.

Jesienią 2001 r. szedłem do jego willi z poczuciem, że idę do legendy środkowoeuropejskiej kultury (niemal takiej jak legenda „Karel Gott”).

Kiedy stanąłem na progu salonu, Neckář legenda zatrzymał mnie i powiedział coś, co zachwiało moim poczuciem godności tak, że omal się nie przewróciłem.

– Proszę ściągnąć buty – powiedział.

– Ale bardzo dobrze je wytarłem.

– Najlepiej będzie, jak pan ściągnie.

– Ale ja w obcym domu czuję się bez butów jak rycerz bez zbroi – wyciągnąłem jeden ze swoich koronnych argumentów, który okazuje się skuteczny w walce toczonej z gospodarzami w przedpokojach.

– Myślę, że najlepiej będzie, jak pan ściągnie – upierał się.

Ten drobnomieszczański szacunek dla rzeczy i ten brak szacunku dla gościa (tak oceniła to kiedyś profesor Szyszkowska), ta nobilitacja podłogi wyniesiona ze społeczności wiejskich wychowanych na klepiskach (tak mi powiedział o tym zwyczaju reżyser Zanussi) spowodowały, że się spiąłem. Użyłem więc najcięższej broni, jaką miałem.

Największy kaliber wymagał oddechu. Westchnąłem więc i powiedziałem:

– A u Karela Gotta butów się nie ściąga.

Václav Neckář spojrział na mnie, jakbym miał mu dać te pięć koron.

– To bardzo proszę... Proszę wejść w butach.

O Karelu Gotcie jedna z jego kochanek powiedziała, że po przyjściu z kolacji z nowo poznaną kobietą do domu zawsze zachowuje się jak Polak. Czyli nie ściąga od razu butów.

To oczywiście mit o jakiejś naszej wielkopańskości. Jak wszyscy wiemy – wyłącznie mit. Kiedy raz redaktorkę Klusákovą z Czeskiego Radia przepuściłem w drzwiach, to od razu na antenie powiedziała rozczulona: – Polacy są tacy nobl... (słowo pochodzi od „nóblesse” i w socjalistycznej Czechosłowacji było negatywnym określeniem tych, którzy nie należą do klasy robotniczej. Oczywiście miło było to usłyszeć synowi robotników pochodzenia chłopskiego).

Różnimy się od Czechów znacznie i często o tym piszę, lecz zwyczaj ściągnięcia butów, kiedy idziemy do kogoś z wizytą, nasze narody zbliża jak żaden. I gdyby tylko odbywały się w Republice Czeskiej chrzciny lub pierwsze komunie tak huczne jak w Polsce, to na pewno na zdjęciach z tych przyjęć też widnieliby mężczyźni w garniturach, pod krawatem i w samych skarpetkach.

Zaznaczę jednak, że dopuszczam dwa wyjątki. Sam z własnej woli ściągam buty w dwóch rodzajach domów: tam, gdzie są maleńkie dzieci pełzające po podłogach, i w domach starszych ludzi, dla których sprzątanie jest czynnością ponad ich siły.

### 3.

Zostańmy jeszcze przy Václavie Neckárze. Nasza rozmowa była bardzo sympatyczna, dał mi ciekawy materiał do rozdziału „Życie jest mężczyzną” w książce „Gottland” i nie szczędził wspomnień.

Jakiś czas później te wspomnienia mu znikły.

Dziewięć lat temu podczas trasy koncertowej dostał wylewu krwi do mózgu. Zapomniał, jak się mówi, najbardziej nie mógł sobie poradzić z szykiem wyrazów. Przez osiem lat pracował z logopedą, dziś jest dumny, że z setek swoich piosenek zna na pamięć 20.

Twórcy hitu czeskich kin – animowanego dramatu „Alois Nebel” (nie mogłem oderwać wzroku!) – wpadli na pomysł, że piosenkę do ich filmu zaśpiewa właśnie Neckář. Stała się hitem jesieni (choć opowiada o pasterce), a jej dwa klipy na YouTube mają w tej chwili prawie 2 mln 200 tys. odsłon. Zdanie, że to kawałek, „który potrafi wzruszyć i zatwardziałego chłopca”, czytałem chyba we wszystkich gazetach.

Kiedy już przeczytacie „Pociągi...” i obejrzyicie młodziutkiego Neckářa w filmie Menzla, poszukajcie go na YouTube, wpisując słowo „půlnocní” (půlnocní oznacza pasterkę). Entuzjastycznym komentarzom pod klipem nie ma końca, a ktoś napisał, że „właśnie tu widać różnicę między panem Gottem a Neckářem, bo pana Neckářa słucha też dzisiejsza młodzież”. Rzeczywiście jak na Czechy to rodzaj kulturowego cudu: piosenka o wizycie w kościele, gdzie wisi tylko cień krzyża, zaśpiewana przez starszego pana, w dodatku bez glamouru, czyli tzw. wyglądu, spełniła potrzeby wszystkich generacji.

Comebackowi 68-letniego artysty Czesi przyglądają się z czułością. Ja też obejrzałem „Půlnocní” z czułością i nawet mi się głupio zrobiło, że chciałem mu tak z butami wejść do wnętrza.

## O hemoroidach w kulturze literackiej

[Michal Viewegh, „Wychowanie dziewcząt w Czechach”, tłum. Jan Stachowski]

### 1.

Najpopularniejszy pisarz w Czechach Michal Viewegh w intymnym dzienniku z 2005 roku (pisanym oczywiście w celu natychmiastowej publikacji) przybliżył czytelnikom między innymi swoje hemoroidy. 24.04.05 zapisał: „Problemy mojego odbytu znów dają o sobie znać; działa na nie tylko maść z kortykosteroidami” – a ja wpadłem w zachwyty.

12.07.05 zapisał: „Kiedyś pragnąłem bardziej męskiego zarostu na twarzy, idealnie białych zębów i gładkiej cery, dziś marzę o sprawnym układzie trawiennym i otworze odbytowym bez pęknięć”, a ja byłem zachwycony.

16.08.05 zapisał: „Z małżowin usznych rosną mi już trzy ciemne włosy, które muszę sobie wyrwać; w połowie lat 90. miałem tylko jeden włos”, a ja byłem zachwycony nadal.

22.09.05 zapisał, że zobaczył telewizyjną reklamę tabloidu „Aha”: „»Viewegh ma kochankę!« – krzyczy strona tytułowa, a głos lektora dodaje: »Czy Viewegh opuści swoją ciężarną żonę?«. Słyszały to dwa, może trzy miliony ludzi. Nie jestem w stanie tego ścierpieć” – wyznał, bo całość była wymyślonym od początku do końca kłamstwem, które zaskarżył do sądu. I w tym przypadku też nie posiadałem się z zachwyty.

Kiedy urodziła mu się pierwsza córka z drugiego małżeństwa, w innym tabloidzie ukazało się zdjęcie z porodu, na którym widniała w całej okazałości naga żona Viewegha – tym także byłem zachwycony.

Gdy przypomniał sobie, że pokazywał to zdjęcie koledze reżyserowi na jakimś bankiecie i najprawdopodobniej wtedy paparazzo zza jego ramienia je sfotografował, nadal trwałem w zachwyty.

„Viewegh czuje się oszukany, poniżony i nie wie już, jak ma chronić swoich najbliższych” – powiedziała w telewizji redaktorka Klusáková, a ja ciągle byłem zachwycony.

„Zaczął walkę z wiatrakami i pozwał gazetę do sądu, choć wiedział,

że odszkodowania się nie doczeka. Porozumiał się więc ze swoimi znajomymi i zbiera podpisy artystów, którzy współpracy z tabloidami odmawiają” – dodała redaktorka, a ja wciąż przeżywałem zachwyty.

Gdy dowiedziałem się z prasy, że Michal Viewegh postanowił nie udzielać żadnych wywiadów tabloidom i trwa w tym postanowieniu, byłem zachwycony jeszcze bardziej.

Wyjaśnił w dzienniku, że skoro postanowił nie dawać wywiadów, musiał to sobie jakoś zrekompensować. „Jestem tak uzależniony od rozmów na własny temat, że ten dziennik jest czymś w rodzaju programu metadonowego” – zapisał z dawką właściwej sobie autoironii. Dziennik sprzedał się świetnie, każdy czytelnik był ciekawy osobistych przeżyć ulubionego pisarza, nawet jak były to czasem przeżycia okołoodbytnicze (a może zwłaszcza). Publika, która najchętniej zajrzałaby idolowi do d..., co pięknie zostało zilustrowane w filmie „Priscilla, królowa pustyni”, gdzie fan ABBY wozi w fiolce „kupę ABBY” (a dokładnie Agnethy), dostała od pisarza najprawdopodobniej to, czego najbardziej pragnęła. Kiedy więc pięć lat później Michal Viewegh wydał następny dziennik (z 2010 roku), jedna z krytyk miała tytuł: „Viewegh nie znosi tabloidów, więc stworzył sobie własny”. Przyznałem recenzentowi rację – i wciąż byłem bardzo zachwycony.

Czym?

Tym, że kultura czeska okazała się wielką kulturą. Jedną z nielicznych, w której pisarz może stać się celebrytą, a tabloidy potraktują go jak równego gwiazdom seriali.

Bo ludzie naprawdę muszą czytać książki, żeby tabloidom chciało się fotografować nowo narodzone dziecko pisarza.

## 2.

Czesi czytają najwięcej w Europie. Polskę dzieli przepaść od europejskich liderów w czytelnictwie: od Czech, gdzie książki czyta prawie 80 proc. społeczeństwa, i od Francji, gdzie czyta 70 proc. U nas – ponad połowa nie czyta nie tylko żadnych książek, ale nawet krótkich tekstów. Nic dziwnego.

Kiedy spojrzymy w przeszłość, pamiętajmy, że czeskie odrodzenie narodowe stawiało nie na powstania zbrojne, ale na książki. „To naród filologów” – miał powiedzieć o Czechach Mickiewicz.

Kiedy w XIX wieku ojcowie odrodzeniowcy tworzyli na nowo nowoczesny czeski język, literatura była tu podstawowym narzędziem. Za habsburskiej niewoli język upadł, a przetrwał głównie dzięki wsi; mieszczaństwo i inteligencja używały przeważnie niemieckiego. Kwestia wolności wewnętrznej zaczęła być w pewnym momencie tożsama z kwestią wykształcenia.

Kiedy Czeszka (bo to ona czyta więcej) bierze do ręki najgłupszą nawet, wypoczynkową książkę, ma wrażenie, że trzyma w dłoni coś odświętnego. Twarda okładka, często tasiemka do zakładania stron, czasem tasiemka jest nawet w kolorze liter na okładce, wreszcie obwoluta – jako przejaw szacunku dla książki. Gdy czytelniczka trzyma w ręku czeską Grocholę (a właśnie czeska Grochola jest mężczyzną i nosi nazwisko Viewegh), ma mieć wrażenie, że to książka dla niej ważna.

Kiedy wchodzi się do bardzo popularnej sieci sklepów Levné Knihy (tania książka), można być zaskoczonym, bowiem mnóstwo książek, wydawanych właśnie dla tej sieci, oprócz przystępnej ceny ma piękne twarde okładki. Dla mnie to wygląda tak, jakby w McDonalddie istniała możliwość jedzenia srebrnymi sztućcami.

Kiedy mówimy o czeskim piwie, nie uświadamiamy sobie, że czeska literatura tworzyła się w knajpie. Tam gdzie każdy przy piwie musiał coś opowiedzieć, każdy starał się opowiedzieć ciekawiej niż poprzednik. Tu bym szukał źródeł ich kultury narracji i przyczyn jej sukcesów.

Kiedy Czesi piszą o swoim czytelnictwie, podkreślają, że są czempionami w dziedzinie bibliotek domowych i że wiele domów ma trypokoleniowe biblioteki. (Średnia liczba książek w czeskim domu to 246, tylko 2 proc. Czechów nie ma w domu żadnej książki). Dziś co drugi Czech korzysta z biblioteki publicznej, bo czeskie książki w ostatnich latach bardzo drożeją.

Kiedy w nowo powstałej Czechosłowacji ustawa o bibliotekach publicznych była jedną z pierwszych, nad którą pracowano, i została uchwalona już latem 1919 r., w Polsce projektów takiej ustawy powstało

kilka. Podpowiedź do egzaminu: Czy w okresie międzywojennym została w Polsce uchwalona ustawa o bibliotekach publicznych? Odpowiedź: Nie.

### 3.

To, co przydarzyło się Michalovi Vieweghowi, jest więc – wbrew pozorom – wielkim triumfem słowa drukowanego. Jest przykładem miłości do literatury.

(We Francji tabloidy też śledzą swojego pisarza. Tam zajmują się Houellebekiem, o którym na przykład informują, że chętnie jeździ na wieczory autorskie do Rosji, bo lubi rosyjskie prostytutki).

I tak, Drodzy Państwo, przyszło mi za pomocą prasy bulwarowej zaglądalej do majtek zaświadczać o wartościach.

## O mężczyznach z grupy C

*[Karel Čapek, „Kraakatit”, tłum. Emilia Witwicka]*

Na terenie Czech wyprodukowano Boga. Maszyny zwane karburatorami zaczęły masowo wytwarzać Absolut. Jednym otworem Perfect Carburator wypluwał „mechaniczną” energię, a drugim otworem – boską istotę, która rozlała się po świecie i zarażała ludzi świętością. Absolutu w pewnym momencie było już tak dużo, że postanowiono bombardować nim Anglię.

W Pradze drutem kolczastym odgradzano całe zakazane ulice z powodu ciężkich objawów religiomanii. Ludzie stawali się dobrzy i nie musieli pracować, ponieważ Absolut pracował za nich. Jak już raz rzucił się na produkcję, to produkował nieprawdopodobne ilości, nie troszcząc się o popyt, podaż i dystrybucję. Tarzał się w wydajności. Nastała więc na świecie nieograniczona obfitość wszystkiego, czego ludziom potrzeba. Ale ludziom potrzeba wszystkiego, tylko nie nieograniczonej obfitości.

Zauważono, że Absolut potrafi przypodobać się ludowi i wszędzie przybiera mentalność danego kraju. W cesarstwie niemieckim Absolut natychmiast stał się państwowy, w Polsce działał jak jakiś gatunek alkoholu,



a w Czechach na przykład zachowywał się jak indywidualista. Każdy miał tam swój Absolut na własną rękę.

O tym mniej więcej traktuje pierwsza powieść Karla Čapka „Fabryka absolutu” (1922 r.). Jej główny bohater, producent Absolutu pan Bondy, doszedł w końcu do wniosku, że Bóg jest zbyt wielki. „Każdy sobie z niego odmierzy parę metrów i zdaje się mu, że to już cały Bóg. Przyswoi sobie taką małą zaderkę czy drzazeczkę i zdaje mu się, że ma całego Boga”. Co więcej – wścieka się na tych, co mają inny kawałek. „I żeby samego siebie przekonać, że ma całą prawdę, musi pozabijać tych innych”. Dlatego epidemia Absolutu kończy się w powieści wojną.

Zaręczam Państwu, że Karel Čapek jest najnowocześniejszym pisarzem europejskim pierwszej połowy XX wieku. Kiedy jego sztuka „RUR” przeszła z sukcesem przez teatry świata, ten przejął z niej do wszystkich niemal swoich języków jedno słowo. Stało się ono najnowocześniejszym słowem pierwszej połowy XX wieku i brzmi: „robot”.

Čapek zachowuje się jak ministerstwo zdrowia wobec papierosów – na każdej paczce ostrzega. W dramacie „RUR” (1920) ostrzega ludzkość przed produkcją sztucznego człowieka na skalę masową. W sztuce „Sprawa Makropulos” (1922) ostrzega przed przedłużaniem życia w nieskończoność. W sensacyjnej powieści „Krakatit” (1924) ostrzega przed produkcją broni atomowej, która może wymknąć się człowiekowi z rąk, zwłaszcza gdy padnie ofiarą chciwości. W „Inwazji jaszczurów” (1936) ostrzega przed jaszczurami, czyli faszyzmem... I tym podobnie.

Mówiło się, że Čapek nie ma szans na Nobla, bo Akademia Szwedzka uważa, że pisze zbyt przerażające rzeczy.

Gdy zaprzyjaźnił się z prezydentem i filozofem Tomášem Garrigue Masarykiem i na podstawie wspólnych rozmów napisał ważną dla Czechów książkę „Rozmowy z TGM”, uznano go w Czechach za swego rodzaju kapłana demokracji i uosobienie idei światłego państwa.

Jednak z postawą Čapka miała problemy i lewica, i prawica. Katolicy i komuniści wymawiali mu, że każdemu przyznaje jego rację (co dla obu stron było oczywiście nieznośne). W jego opowiadaniu Piłat na przykład potrafił powiedzieć, że każdy współuczestniczy w prawdzie. I ten, kto mówi

„tak”, i ten, kto mówi „nie”

Trzy lata przed śmiercią ten pisarz przeczuć dostał w spadku posiadłość Strž z urokliwym stawem. Dokończył tam całą masę swoich książek, osobiście sadził kwiaty i kosił trawnik. Myślę, że przeczucia podyktowały mu, aby pod koniec życia zbudować też mur. Wokół całego gospodarstwa ciągnie się więc do dzisiaj wysoki mur.

Trzy miesiące przed jego śmiercią Czechosłowacja została sprzedana w Monachium i podzielona. Do głosu doszli faszyci i także Čapek stał się ich tarczą. (Katolicy i przeciwnicy Masaryka atakowali go z taką zaciętością jak zwykle, ale teraz sprzyjał im klimat). Furtkę w jego murze ktoś oblewał gnojówką. Ktoś przeciągał na przykład cienki drut przez drogę, żeby pisarz się przewrócił. Przez mur natomiast przierzucano anonimy: „Zalicza się pan do tych włazidupców, szczęśliwych, że wążają smród z prezydenckiej kuchni na Zamku. Do tych, którzy niszczyli swój naród judzeniem i pisaniem...”

„Jestem lekarzem wojskowym. Mężczyźni dzielą się według mnie na trzy grupy: A, B i C” – pisał (w prasie) sympatyk generała Franco, wielki katolicki pisarz Jaroslav Durych. I oznajmiał: „każda z tych grup ma swoją moralność”, a „Karel Čapek nigdy nie służył w wojsku, od zawsze należy do grupy C” (To prawda – pisarz miał całe życie problemy z kręgosłupem). „Największym grzechem przeciwko czeskości nie jest wcale powieść Haška o Szwejku. Jest coś jeszcze gorszego. To jest moralność C”

Karel Čapek umarł w Boże Narodzenie 1938 roku i – jak napisała Milena Jesenská – był to zbyt skromny i nieśmiały człowiek, żeby umrzeć na złamane serce. Umarł na zapalenie płuc.

W 70. rocznicę jego śmierci w gazecie, gdzie pisarz pisał przez lata („Lidové noviny”), ukazała się na Wigilię 2008 r. „Katolicka prośba do Karla Čapka o wybaczenie”. Napisał ją teolog i profesor historii literatury Martin C. Putna (rocznik 1968), inicjator Czeskiej Akademii Chrześcijańskiej i były dyrektor Biblioteki Václava Havla. Prośbę napisał w imieniu katolickich pisarzy sprzed 70 lat, którzy zarzucali dziełu Čapka, że jest mało chrześcijańskie i byli zgorzeleni, że ten tak popularny pisarz nie uznawał Kościoła Rzymskokatolickiego za jedyne posiadacza prawdy. Jednocześnie nie

zauważyli nigdy, jak głęboko chrześcijańskie jest u Čapka pojęcie człowieka.

„Szanowny Panie Čapek – zakończył Putna – czescy katolicy Pana epoki wobec Pana zawinili. Ich duchowym spadkobiercom jest przykro. Proszą o wybaczenie”

Wielu dzisiejszych czeskich katolików poparło te przeprosiny. Choć znaleźli się i tacy (nawet z tytułami profesorów), którzy natychmiast przypomnieli, że są to przeprosiny człowieka „od lat walczącego o zalegalizowanie sodomii”

Czyżby?

Otóż teolog i założyciel chrześcijańskiej akademii Martin C. Putna bez skrępowania mówi w telewizji, że jest homoseksualistą i razem ze swoim mężem szedł w Gay Pride. Do tego nieśli transparent „Katolickie pedały...”

## O samozaspokojeniu

*[Josef Škvorecký, „Batalion czołgów”, tłum. Andrzej Sławomir Jagodziński]*

Wejście na mszę pogrzebową Václava Havla do Katedry św. Wita na Hradczanach granoczyło z cudem.

Obliczono, że w świątyni zmieści się na siedząco tylko tysiąc osób, i to było maksimum możliwości, jakie zaoferowano światu, który oczywiście cały chciał być w środku. Samych redakcji chętnych relacjonować uroczystości zgłosiło się ze wszystkich kontynentów 700. Niestety, zgodę na udział we mszy dostało tylko 30 dziennikarzy. Kazano nam przyjść rano, trzy godziny przed pogrzebem. Po zgłoszeniu się zostaliśmy poproszeni, żeby się napić i skorzystać z toalety, bo kiedy wejdziemy do katedry, nie będzie można z niej wyjść co najmniej przez kilka godzin. Potem powędrowaliśmy za naszą przewodniczką, która jednak nie poprowadziła nas do głównego wejścia, ale wielkim kluczem otworzyła małe drzwi w bocznym murze katedry. Pochyliliśmy głowy i zaczęliśmy wspinać się po krętych schodkach. Stanęliśmy na chórze. Dokładnie nad wejściem, a pod sławnym witrażem „Stworzenie świata” Františka Kysela z 1928 roku w kształcie rozety o średnicy prawie 11 metrów, który tak chętnie fotografują turyści.

Chór nie jest udostępniany do zwiedzania, więc przez kilka sekund miałem poczucie wyjątkowości. Stamtąd mieliśmy obserwować obrzęd.

Jednak w kilka sekund wiedziałem: uciekam! – Poddaję się – powiedziałem naszej opiekunce, a poczucie wyjątkowości mogłem oddać za darmo, a nawet dopłacić.

– Już nie można wyjść – odparła zrozpaczona. – Drzwi są zamknięte, na dole panuje podwyższony stan gotowości, bo wjeżdżają prezydenci. Nikt niepowołany nie może przebywać w strefie zero. Państwo naprawdę są wśród wybranych! – chciała mnie pocieszyć.

Spojrzałem jeszcze raz na to, co zastaliśmy. Murek balkonu był tak zabrudzony stuletnim pyłem, że panie i panowie w eleganckich płaszczach natychmiast się wysmolili i zaczęli je energicznie otrzepywać. Pod ścianą stało i leżało kilka krzeseł, które ścierki nie widziały chyba od czasów Franciszka Józefa. Jedna z dziennikarek wytarła krzesło gazetą i nawet usiadła, lecz za minutę na nim podskoczyła, a za chwilę zaczęła skakać po całym chórze. Nie mogliśmy wytrzymać z chłodu – w środku było o wiele zimniej niż na zewnątrz (+3 st. C), a do mszy została jeszcze godzina. Skakaliśmy za chwilę wszyscy, 30 osób zamkniętych u świętego Wita zaczęło taniec świętego Wita.

Najgorsze, że nie było prawie nic widać. Odległość z chóru do ołtarza, przed którym stał katafalk, sprawiła, że Billem Clintonem czy Alainem Delonem mógł być każdy, kto pojawił się na horyzoncie. (Nie wiem, czy Kafka wszedł kiedykolwiek na ten chór, ale bardzo celna jest jego obserwacja z „Procesu”, że „ogrom katedry zdawał się dosięgać właśnie samej granicy tego, co człowiek jeszcze znieść może”). Nie sądziłem jednak, że kiedy msza się rozpocznie, przytrafi nam się rzecz jeszcze gorsza niż nicniewidzenie.



Okazało się bowiem, że nic także nie słyshać. Kiedy po czesku przemawiał prezydent Klaus, mieliśmy wrażenie, że to po chińsku przemawia nuncjusz. Sprawozdawcy ze światowego wydarzenia, którzy nic nie widzą i nic nie słyszą! Proszę sobie wyobrazić trzydziestu osobników w długich płaszczach zamkniętych na balkonie, którzy przez prawie cztery godziny skaczą, truchtają i rozcierają sobie ciało. A w oddali szumi uroczysty i ważny obrzęd.

– 400 euro za przelot z Warszawy, żeby dać się uwięzić w katedrze... – szepnąłem małostkowo po dwóch godzinach jakiemuś czeskiemu koledze.

Zmartwił się strasznie. Przybliżył do mnie swoją twarz i zaczął łagodnie przemawiać: – Bardzo pana proszę, żeby pan tego tak nie odbierał. Václav Havel był dramaturgiem i przedstawicielem teatru absurdu, proszę sobie więc wyobrazić, że to on sam przygotował dla nas tę sytuację. A najlepiej – kolega Czech przybrał jeszcze bardziej proszący wyraz twarzy – niech pan sobie cały czas wyobraża, że to Havel nas tu reżyseruje. Proszę poczuć się jego aktorem, od razu dozna pan ulgi.

Doznałem od razu.

Powiem nawet więcej, jeśli reżyserował nas duch dramatopisarza, to nagle podsunął mi natrętną myśl: czy prezydent Wałęsa, który jest w gorszej sytuacji niż ja, bo siedzi trzecią godzinę na dole w ławce i nie może się ruszać, ma aby kalesony? (Bo że nie ma ich Alain Delon, jakoś byłem pewny).

Po co to wszystko piszę, i to przy okazji nowego wydania książki Josefa Škvoreckiego „Batalion czołgów”?

Pzyjaciół Václava Havla umarł dwa tygodnie po nim. W czeskiej prasie po śmierci Škvoreckiego zaczęto przypominać wypowiedzi pisarza. I mimo że jego miniatury i hecna autobiografia „Przypadki niefortunnego saksofonisty tenorowego” była moim elementarzem czechosłowackiej historii; mimo że jego „Batalion czołgów” nazywany jest Szwejkiem do kwadratu, a mój znajomy przeczytał go 11 lat temu i do dzisiaj się śmieje; i mimo że to jeden z trzech najbardziej znanych na świecie czeskich pisarzy – z pewnym przypomnianym właśnie poglądem Josefa Škvoreckiego nie mogę się zgodzić.

Twierdził bowiem, że charakter narodowy to bzdura. Nic takiego nie istnieje, charakter mają ludzie, a nie narody.

Trudno mi się z tym zgodzić. Czesi bowiem przejawiają w swoim zachowaniu pewien dominujący rys. Otóż w każdych okolicznościach dążą do kompensacji, czyli „samozaspokojenia”. To sformułowanie ze słownika erotyki przejął rzeźbiarz David Černý, który twierdzi, że Czesi jako naród w każdej sytuacji psychicznej dążą do samozaspokojenia. Wmówią sobie, że wszystko jest dobre, co go wkurza, bo wtedy nie dotykają prawdy. Černý zaprojektował nawet (choć nigdy nie zrealizował) rzeźbę gigantycznego onanisty ze wzwiedzionym członkiem, którego chciał posadzić na dachu Teatru Narodowego w Pradze, który to teatr – symbol odrodzenia narodowego – został zbudowany z datków obywateli pod hasłem „Naród sobie”.

Owo samozaspokojenie typowe dla Czechów rozumiem tak, że z każdej wady będą wysysać zaletę tak długo, aż się uspokoją.

Znaleźć równowagę, nawet dzięki erzacowi. Wydobyć choćby spod ziemi



dobrą stroną zdarzeń... – może to cecha tego, kto chce przeżyć za wszelką cenę? Najprawdopodobniej to jedyne wyjście, żeby przystosować się do niekomfortowej sytuacji.

Nie mają morza, więc mają książki pod tytułem: „Powietrze to nasze morze” oraz „Staw to także morze”. Duże wrażenie zrobił na mnie surrealistyczny film w reżyserii Jana Gogoli „Naród sobie albo czeskie morze w 18 przyptywach”, gdzie aktorka w błękitnej powiewnej szacie wybiega na aleję Narodową, krzyżąc: „Wszędzie jest morze! Wszędzie jest morze!”, i przekonuje przechodniów: „Pan jest falą i pan też jest falą...”

A najpiękniejszy przypadek samozaspokożenia znalazłem w opowiadaniu Oty Filipa „Pokalane poczęcie”. Występuje tam nieudacznik Hugon – kandydat na pisarza, który za komuny z braku talentu i ze strachu przed Służbą Bezpieczeństwa nic nie pisze. Na końcu opowiadania pada zdanie, które należy według mnie do najważniejszych zdań w czeskiej kulturze.

„Nie piszę, milczę – przyznaje Hugon – ale milczę z godnością i niebezpiecznie!”

PS

Relację z pogrzebu Havla napisałem do „Gazety Wyborczej” tylko dzięki telewizji informacyjnej ČT24 w hotelu, dokąd pojechałem natychmiast po pogrzebie. Szczęśliwie wielokrotnie powtarzano fragmenty mszy i miałem z czego spisać. Jeszcze raz potwierdziła się teoria Carlo Pontiego (producenta filmowego i męża Sophii Loren), że telewizja powoduje rzeczy straszne, ale bez niej bylibyśmy ślepi i głusi.



## CZEŚĆ 3

# ŚWIRUS NIEZŁOMNY



*Człowiek, który nie chciał, żeby znikła radość*

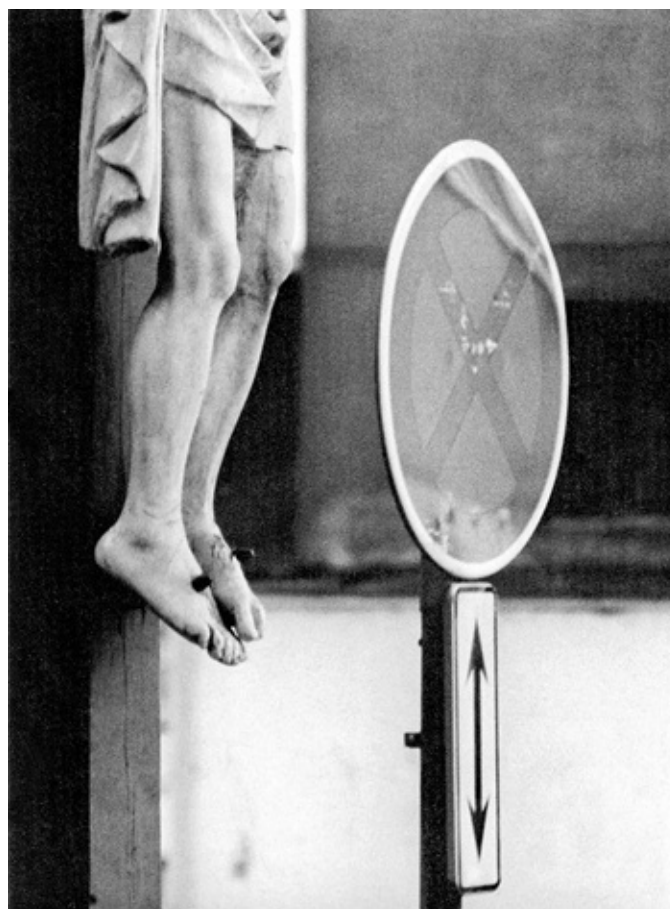
**W**felietonie „Kurczak à la Havel” wspomniałem o Ivanie Martinie Jirousie, który poproszony o hasło na nielegalny plakat ze swoją twarzą, zaproponował zdanie: „Ważne, aby nie znikła radość”. Był pierwszym z wielkiej literackiej trójki (Havel, Škvorecký), która w 2011 roku rozstała się z nami na zawsze. Ciała kolejnych świetnych ludzi postanowiły same się unicestwić, produkując komórki rakowe.

### 1.

Wiersze, które napisał w więzieniu, przemycił zza krat za pomocą pocałunku. Ponoć on sam (w innej wersji tego mitu zrobił to jego kolega z celi) przewieziony z zakładu karnego na rozprawę nagle na korytarzu sądu pocałował koleżankę, która przysłała na jego proces, i językiem wcisnął jej do ust zwinięte zapiski.

Kiedy zmarł, czeska prasa ogłosiła, że w wieku 67 lat odszedł „bohater”. Ale ponieważ to słowo w Czechach może odrzucać, dodano, że także „poeta” i „pijak”.

W jego życiorysie wrażenie robi zapis lat, w których był więziony za swoje poglądy: 1973–1974, 1976–1977, 1977–1979, 1981–1985, 1989. Łącznie – osiem i pół roku.



Ivan Martin Jirous: historyk sztuki, eseista, literat, opozycjonista. Kierownik artystyczny legendarnej grupy The Plastic People of the Universe, zwany powszechnie Magorem, co po polsku bywa tłumaczone jako Świrus lub Szajbus. Siedział w najcięższym czechosłowackim kryminale, więc autorka cyklu „Rozmów na koniec wieku” spytała go o represje: – Często oprócz szykan służby więziennej aresztowanych spotykają szykany współwięźniów, choćby zmuszanie do praktyk homoseksualnych...

Magor nie uległ ewentualnym mieszczańskim oczekiwaniom czytelników „Lidovych Novin”.

– W celi – odparł – siedziało nas 30, z czego 29 robiło te rzeczy. Przecież to nie są żadne szykany. Co mają ci ludzie zrobić, jeśli siedzą tam 25 lat? Klawiszki nie wypieprzysz... To tak samo, jakbyś powiedziała, że represje są wtedy, gdy śpi ze sobą małżeństwo. Przecież ta biedna żona w większości przypadków też zachwycona nie jest – zakończył. W antologii „Czeski underground” (wydanej w Polsce przez ATUT w 2008 r.) znalazł się nawet

wierszyk na ten temat, przetłumaczony udanie przez Joannę Derdowską:

Źle elegie się spisuje  
Gdy wokół ssą sobie chuje,  
a każdy rym jest nazbyt płaski  
by oddać, jak robią sobie laski [...]

Nie uległ wyobrażeniom, jak powinien zachowywać się i wystawiać laureat wielkiej Nagrody im. Jaroslava Seiferta za poetyckie dzieło. Na długi wywiad w telewizji przyszedł dwa lata temu bez dolnych zębów, a dyplom, który inni laureaci tej nagrody wstawiają w złote ramy, przybił czterema gwoźdźmi nad drzwiami kuchni. I to nie w swoim mieszkaniu.

Nie uległ roli wrażliwego poety. Poetą był rano, a kiedy kończył się dzień, Magor w knajpach rozbierał się do pasa i walił w mordę każdego, kto mu się nie podobał. Lubił też rozebrać się od pasa. Gdy pierwszy raz po upadku komuny zaproszono go – sławnego dysydenta antykomunistę – do czytania na głos wierszy w sławnym pałacu Lucerna, czytał je w towarzystwie striptizerki. Rozbierała się w rytm wierszy. Organizatorzy zaprosili ją ponoć celowo, żeby uniemożliwić Magorowi jego ewentualny striptiz.

Nie uległ Kościołowi. Deklarował, że jest wierzącym rzymskim katolikiem i zostanie nim do śmierci. Mówiono o nim nie tylko jako o największym poecie współczesnych Czech, ale też poecie religijnym. „Sensem kultury – pisał – nie jest uczestnictwo w duchowym topie hitów zdziczałego świata. Sens kultury jest albo religijny, albo żaden”. Taka publiczna deklaracja bardzo znanej osoby jest dla Kościoła w zsekularyzowanych Czechach na wagę złota. Jednak Magor zaraz wymykał się temu Kościołowi z rąk. Mówił: – Księżom katolickim zakazałbym wygłaszania kazań, ponieważ coś, co mnie najbardziej wkurwia, to jest interpretacja czytanej przed chwilą Ewangelii, kiedy ksiądz pół godziny wyjaśnia tym głupim owieczkom, co to wszystko znaczy. Przecież tym umniejsza się Ewangeliom i ewangelistom, którzy napisali je tak kretyńsko, że musowo teraz jakiś typ z Litomierzyc musi wyjaśnić to wiernym.

Nie uległ chrześcijańskiej terminologii i nie używał jej. W wielu wywiadach tłumaczył, że wszystkim kieruje gąsienica. (– Tak mówię na Pana

Boga). Dziennikarze głupieli, dopytywali np., czy chodzi o to, że niebiańskie ptactwo żywi się gąsienicami. Odpowiadał, że nie. „Po prostu gąsienica się przepoczwarza i wychodzi z niej piękny motyl. To jest symbol Trójcy Świętej: gąsienica, poczwarka, a potem motyl”. Jeśli takie tłumaczenie nie wystarczało, a nie wystarczało, zaczynał recytować wiersz:

[...]

ach Boże, gąsienico moja,  
jak się wyklujesz  
będziesz mej miłości  
bliżej?

Nie ulegał dominującej mentalności już od dziecka. W miasteczku Humpolec, gdzie się urodził, ani władze miasta, ani lokalna liga kobiet nie dały mu w 1963 r. pozytywnej opinii jako kandydatowi na studia wyższe. Bo „chodzi w czarnym swetrze, ma długie włosy i nic nie robi”. Mimo to skończył historię sztuki. Szybko zaprzyjaźnił się z Plastikowymi. Stał się ich szefem, a potem teoretykiem całej undergroundowej kultury. Na koncertach wieszali wędzone śledzie, żeby na publiczność kapał olej, świecili pochodniami, zabijali koguta i śpiewali, że „wszystkie głupie mózgi są na słońcu, nasz aksamitny naród żyje w podziemiu”. Milicjanci, którzy rozpędzali ich koncerty i wielokrotnie masakrowali publiczność, powtarzali: „Przecież to nie są ludzie”. „Nic z tego, co robimy, nie może się podobać przedstawicielom kultury oficjalnej – pisał Magor – ponieważ nie może to zostać użyte do stworzenia iluzji, że sprawy mają się dobrze”.

Nie uległ autorytetom i polemizował z nimi natychmiast, „bo uważam się za tego, kto tworzy niepokój”. Kiedy myśliciel, historyk literatury i antykomunista prof. Václav Černý, odsunięty przez reżim na boczny tor i uważany przez opozycję za wielki umysł tamtej epoki, wypowiedział się na temat undergroundu, że jest on pogardą i nie wytworzył w sobie źródła jakiegokolwiek szacunku, Magor to kontrował: „Szacunek w undergroundzie już istnieje: szacunek dla drugiego człowieka. U ludzi starszej kultury często pojawia się podświadomie wartościująca miara: powiedz mi, kim jesteś, a ja ci powiem, ile jesteś warty. W undergroundzie z niczym takim się nie

spotkałem”

Nie uległ wyobrażeniom, jak powinien zachowywać się bliski przyjaciel prezydenta. Gdy leciał z Václavem Havlem do Nowego Jorku, przemycił ze sobą do samolotu nóż. Włożył go ponoć do aktówki prezydenta, któremu nie sprawdza się bagażu. Podczas lotu wszedł do kokpitu, przystawił nóż pilotowi do szyi i krzyknął: „Do Nowego Jorku!”

Nie uległ strachowi. Kiedy tylko wyszedł w 1977 r. z kryminału, natychmiast podpisał opozycyjną Kartę 77, za której poparcie w najlepszym wypadku groziło wyrzucenie z pracy i skierowanie do czyszczenia klozetów, a represje spotykały całą rodzinę podpisującego, łącznie z zakazem studiów dla dzieci na zawsze. Jeszcze pół roku temu po 38 latach Sąd Najwyższy uniewinnił Magora z pierwszej jego kary 8 miesięcy pozbawienia wolności za to, że w 1973 r. zjadł w knajpie kawałek komunistycznej gazety „Rudé právo” i śpiewał: „Tak kiedyś pożremy bolszewików!” – Zawsze zachowywałem się swobodnie – wyjaśnił sądowi w 2011 r. – bez względu na ryzyko, które ta swoboda powodowała.

Nie uległ złudzeniu, że strachu można się pozbyć. Opowiadał, że zawsze się bał: – Kiedy ktoś z undergroundu mówił, że nie czuje strachu, wtedy natychmiast przerywałem z nim współpracę, bo to oznaczało, że jest donosicielem. Strach nieodłącznie należy do człowieka. Każdy człowiek jest tchórzem, ale ważne jest, jak to tchórzostwo pokonać.



Nie uległ chciwości, więc na starość, po upadku komunizmu, żył często poniżej minimum socjalnego. Jednak zawsze podkreślał, że za lata więzienia nigdy nie weźmie odszkodowania, bo siedział za wolność, a nie za pieniądze.

Nie uległ demonowi lustracji, a mógł, bo sam bez skazy, miał wokół siebie całą masę donosicieli. Raz przeczytał listę Cibulki (odpowiednik naszej listy Wildsteina). – Znalazłem tam wielu przyjaciół – przyznawał – ale jest dla mnie jasne, jak łatwo człowiek mógł się tam dostać. Esbecy upadliby na głowę, gdyby nie wcisnęli w nas nikogo ze swoich. Jedynym rozwiązaniem było nie zajmować się tym. Człowiek ulegnie takiej agentomanii i na koniec podejrzewa już każdego. Po prostu konspirowaliśmy ze świadomością, że ktoś o tym doniesie.

Nie uległ dziennikarce (Renata Kalenská), która przeprowadzała z nim

wywiad o więzieniu. Wiozła go samochodem przez pół kraju. Do jego chałupy, gdzie hodował trzy kozy; którym woził zebrane w Pradze nadgniłe pomarańcze i czerstwe bułki. Pozwalał jej jechać tylko kawałek i zaraz musieli zatrzymać się na piwo i rum, bo oświadczał, że dalej nie jedzie. Tłumaczył, że najlepsze wiersze przychodzą do niego między szóstą a siódmą wódką w barze Pod Śpiewaczkami. I przecież Charles Baudelaire w wierszu „Upijajcie się” zaleca, że aby nie czuć strasznego brzemienia czasu, trzeba być zawsze pijanym. „Winem, poezją lub cnotą, tym, co wam odpowiada. Ale upijajcie się” – Ja w zasadzie nie jestem żadnym alkoholikiem – podkreślał Świrus. – Piję z powodów zawodowych, bo tak mnie nauczył Charles Baudelaire.

## 2.

Jako reporter popełniłem znów niewybaczalny grzech. Nazywam go grzechem zaniechania. Otóż pracując nad „Gottlandem”, byłem z Magorem umówiony na wywiad. Miałem przyjść przed występem reaktywowanych pod koniec lat 90. Plastikowych do zadymionego klubu w Pradze, gdzie – zapowiedział – napijemy się i porozmawiamy.

Nie lubię zbytnio ani dymu, ani piwa, ani zapachu piwa, ani hałasu, jaki robią pijący. A na pijanych ludzi mam alergię od dziecka. Coś, co było naturalnym środowiskiem Hrabala, w realu mnie tak odrzuca, że jeśli nie piszę akurat przewodnika po knajpach na Žižkovie, to do nich nie chodzę.

Już nawet wyszedłem z domu, ale po wewnętrznej walce do Magora nie doszedłem. Myślę, że w ten sposób francuski piesek stracił na zawsze okazję kontaktu z człowiekiem z krwi i kości.



## CZEŚĆ 4

# HAMBURGER Z KRWIA KAFKI



*Miałem Věřę S. już tylko dla siebie, nikt mi nie mógł jej ukraść. Była uwięziona raz na zawsze jak owad w bursztynie*

**K**iedy napisałem „Gottland”, szybko usmażyłem hamburgera. Miał być nieduży, w miarę miękki i do szybkiego spożycia. Podany w każdym kraju (powtarzalność jako święta McZasada) powinien być strawny dla każdego. Nie wszyscy autorzy wiedzą, że po wydaniu książki wysmażenie hamburgera jest sprawą najpilniejszą.

– Może i napisałeś wartościową rzecz, może i użyłeś tam słów typu „Kafka”, ale pamiętaj, że książka to show-biznes – tłumaczył mi kolega z telewizji. – Musisz mieć trzy gotowe, efektowne zdania, o czym ta książka jest. Takie, które będą zrozumiałe wszędzie, w każdej kulturze.

Mój hamburger wyglądał więc tak:

„Napisałem książkę o tym, że ktoś lub coś zamienia ludzi w robaki – i jak oni na to reagują. Od totalnej zgody i schizofrenicznego wręcz przystosowania aż po ucieczkę z życia i samobójstwo”. Tyle.

Jeśli spotkanie autorskie miało miejsce w nowoczesnej księgarni Mediolanu czy też w alternatywnym klubie Moskwy, uprzedzałem mojego hamburgera małą wyrefinowaną przystaweczką. Brzmiała: „Nawiązując do »Przemiany« Franza Kafki...”

Wskutek tego zaraz zaczynało się mówić o duchu Franza Kafki, „który przecież przenika całość...”. A do tego w książce jest rozdział o wciąż żyjącej w Pradze 84-letniej siostrzenicy Kafki, córce jego ulubionej siostry Ottli.

Kiedy praskie knajpy imitują knajpy, w których bywał Kafka, i wyglądają tak, jakby przed chwilą z nich wyszedł, choć powstały po 2000

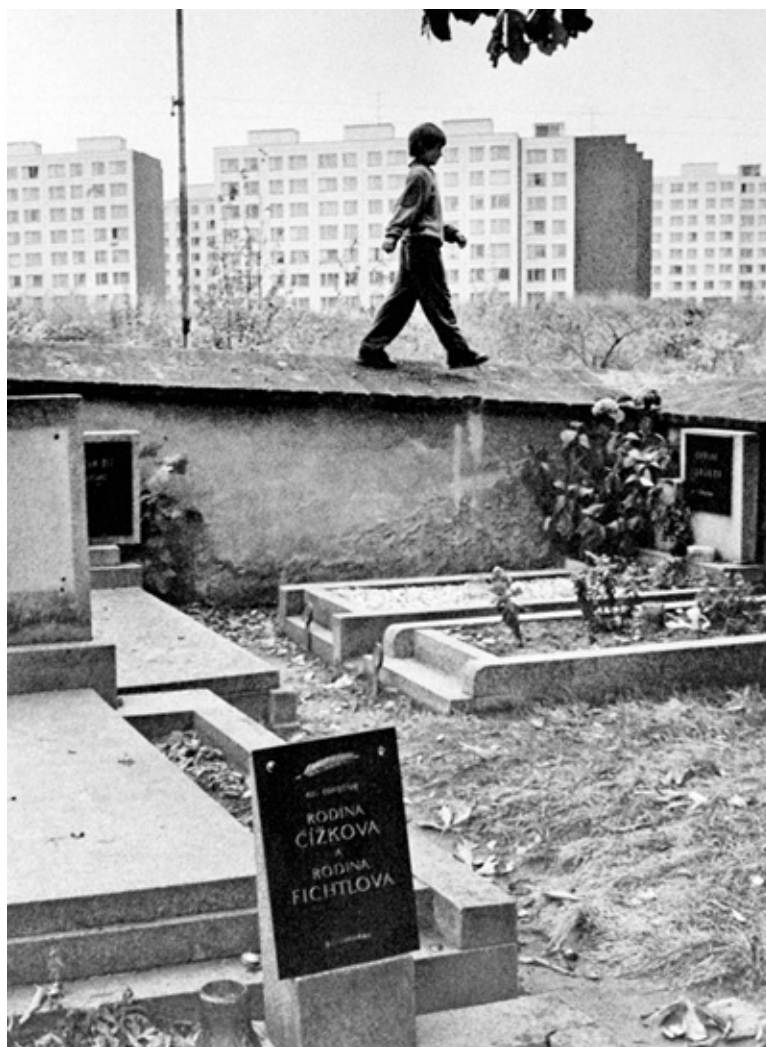
roku; i kiedy dom, w którym się urodził, nie istnieje, ale inny go bezkarnie udaje – ona jedna, napisałem, nie jest imitacją. Pani Nieimitacja mieszka na piątym piętrze kamienicy na Starówce.

Udało mi się dotrzeć do przedpokoju Věry S. w 2004 roku. Nie chciała rozmawiać. (Znajoma czeska dokumentalistka powiedziała mi, że to bardzo płochliwa istota). Nigdy nie udzieliła wywiadu. Nawet Amerykanie nie byli w stanie kupić jej wyznań. Kiedy tak stałem przed nią, przestępując z nogi na nogę i prosząc o rozmowę, odpowiedziała: – Proszę napisać do mnie list, o czym chciałby pan rozmawiać, odpowiem w stosownym terminie.

Gdy mimo to udało mi się wypowiedzieć jedno pytanie („Jak się pani czuje w XXI wieku?”), znów odparła: – Proszę napisać do mnie list, odpowiem w stosownym terminie.

Choć nie miałem wywiadu, ta puenta była boska.

Z wizyty urodziła się formułka, która zaspokajała jakieś podświadomie pragnienie: siostrzenica Kafki nie może być zwyczajną kobietą, powinna być postacią z Kafki. Odmawiając rozmowy i prosząc o napisanie listu, idealnie wpisała się w kafkowski paradygmat – daremne wyczekiwanie.



Kiedy książkę wydałem poza Polską, we wszystkich krajach Věra S. służyła wydawcom (ale i mojej dumie) jako maleńki klejnot. W materiałach prasowych podkreślano, że „na kartach książki »Gottland« pojawia się też tajemnicza postać siostrzenicy Kafki, którą autor odwiedza w jej domu”. Dla książki o Czechach i Czechosłowacji (zwłaszcza gdy komunistyczna Czechosłowacja jest dowodem, że Kafka był pisarzem realistycznym), a więc dla takiej książki opowieść o żyjącej enigmatycznej siostrzenicy była bezcenna.

Jak Państwo widzą, nawet odmawiając rozmowy, robiła mi prezent.

A więc zamknąłem i opakowałem Věrę S. w kilkadziesiąt zdań. Zaczęła funkcjonować (w mojej głowie i w anegdotach, które opowiadałem na spotkaniach autorskich) jako opowiadanie zamknięte.

Po tamtej wizycie przez lata spoglądałem na jej dom z jakimś

podnieceniem. Czasem dzwoniłem domofonem, nikt się nie odzywał. Najpierw sądziłem, że ze względu na wiek pani Věra znalazła się w jakimś ośrodku opieki. Po kilku latach wydało mi się naturalne, że musiała umrzeć, co mnie dziwnie uspokoiło. Miałem bowiem Věřę S. już tylko dla siebie, nikt mi nie mógł jej ukraść. Była uwięziona raz na zawsze jak owad w bursztynie. A bursztyn był mój!

Jednak żadne opowiadanie, proszę Państwa, jeśli jest prawdziwe, nie może być zamknięte. Także to opowiedziane tysiąc razy.

Věřa S. żyje i w wieku 90 lat udzieliła pierwszego wielkiego wywiadu.

Ale nie mnie!

W dodatku udzieliła go, paląc papierosa.

(Powiedziała, że pali od 81 lat, czyli od dziewiątego roku życia).

To w Czechach wydarzenie. Czeski tygodnik „Reflex”, który rozmowę wydrukował, zaczął ją od tego, że mają tę rozmowę, podczas gdy mnie nie udało się z Věřą Saudkovą porozmawiać.

## 2.

Z zazdrością (pozytywną) czytam, co powiedziała w „Reflexie”.

Przeczytała wszystkie książki Kafki. Zawsze przy lekturze ma do siebie pretensje, że do niej jego książka nie trafia albo że widzi tam coś innego, niż napisał Kafka. – Źle się z tym czuję, że go nie rozumiem – zwierza się. – Właściwie nie spotkałam czeskiego czytelnika, który by z zachwyty nad Kafką zwariował. Szaleństwo wokół niego w ogóle mi nie odpowiada.

Przed laty, na jakiejś konferencji – dodaje – podszedł do mnie nieznany mężczyzna, położył mi rękę na ramieniu i jękając się, powiedział: „Proszę pozwolić, że dotknę pani ramienia, w którym krąży ta krew! Krew Kafki!”. Zrobiło mi się niedobrze i stamtąd uciekłam. Kiedyś jeden badacz mnie całkiem poważnie pytał, czy Kafka nie trzymał moczu.

– Co mu pani powiedziała? – spytała dziennikarka.

– Nic mi o tym nie wiadomo. W naszej rodzinie na taki temat się nie rozmawiało. Zainteresowanie kafkologów towarzyszy mi przez całe życie. I proszę wierzyć, nie jest to przyjemne.

– Może jego książki czytała chociaż pani mama?

– Nie wiem. Mama nie była wielkim miłośnikiem książek. Dziadek Hermann Kafka książek swojego syna w ogóle nie uznawał: „skrobaniem porządny chłop się nie utrzyma”. Kiedy Franz mu przyniósł swoją pierwszą książkę, dziadek rzucił: „Połóż mi na nocny stolik”. To było potem w naszej rodzinie kultowe zdanie.

Kolejne rodzinne powiedzenie brzmiało: „Nicht vor dem Vater” – „Tylko nie ojcu”. Złe oceny, rozbite kolano, wszystko się mogło stać, ale „Tylko nie ojcu...”. Babcia Julia dbała o to, aby dziadka nic nie rozzłościło.



– Pani syn ponownie przetłumaczył na czeski „List do ojca” Kafki. Wybrał przy tym nagłówek „Najmilszy tatusiu” zamiast poprzedniego „Drogi ojcze”.

– Kafkolodzy z tego powodu się pieklili. Vojtěch to przełożył właściwie, bo z tego, co ja pamiętam, to u Kafków zawsze się mówiło „Vater” albo „tatuś”. „Ojcze” nikt by nie powiedział. Mówiło się jak w innych praskich

żydowskich rodzinach – po czesku z niemieckimi wyrazami.

Věra Saudková uważa, że mieć szczęście to umrzeć we własnym łóżku. Tak umarł dziadek, czyli ojciec Franza, tak umarła jego matka. Ich trzy córki Elli, Valli i Ottla zginęły w obozie.

– Panią i pani siostrę uratowało to, że miałyście aryjskiego ojca – nadmieniam dziennikarka i następuje poruszająca opowieść, jak siostra Kafki, żeby jej mąż mógł nadal być urzędnikiem, zaproponowała na początku okupacji rozwód. Gdy tylko ktoś pukał do drzwi, chowała się za szafę. Kiedy zginęła w Auschwitz, dostały od niej naraz kilka listów. Pisała w nich zawsze: „Pozdrówcie pannę Ua ua”. To był kryptonim taty, który gdy były z siostrą małe, bawił się z nimi w Indian. Bardzo jej zależało, żeby ojciec nie miał poczucia winy.

Z wywiadu ewidentnie wynika, że dla Věry Saudkovej wiek XXI jest o wiele lepszy niż XX.

### 3.

Szczęściarą, której siostrzenica Kafki udzieliła wywiadu, jest Hana Benešová; autorka świetnego reporterskiego serialu „Czeskie losy”. Mówi, że uzyskanie wywiadu było zaskakująco proste.

Poprosiła Věřę Saudkovą o rozmowę, ta odmówiła, jak wszystkim. Ale Hana wysłała pani Věrce list, gdzie napisała, o czym dokładnie chciałaby rozmawiać. Po kilku dniach (w stosownym terminie) przyszła odpowiedź, że starsza pani się zgadza.

Hano Benešová, jesteś wielka! Przecież Věra S. powiedziała mi wyraźnie: – Bardzo proszę w tej sprawie napisać do mnie list. Odpowiem w stosownym terminie.

Ale Bóg nie podpowiedział mi: Icek, ty daj mnie szansę, ty kup los.



## CZEŚĆ 5

# FAŁSZYWA POLEDWICA\*)



*\*) Fałszywą polędwicą nazywa się kawałek tzw. tylnego mięsa wołu, który udaje polędwicę właściwą*

### Odłona 1:

#### Jára Cimrman we mgle

W Muzeum Narodowym w Pradze skończyła się właśnie wystawa dzieł największego czeskiego geniusza, a prawdopodobnie jednego z największych geniuszów świata – Járy Cimrmana. Otwarto ją w święto narodowe, w dzień patrona Czech – św. Wacława. W kraju, w którym panuje niechęć do zadęcia, taka symboliczna data coś znaczy. Cimrman był bowiem umysłem renesansowym, porównywalnym tylko z Leonardem da Vinci. („To jedyny mój pacjent, który potrafił wywołać we mnie kompleks” – Zygmunta Freud).

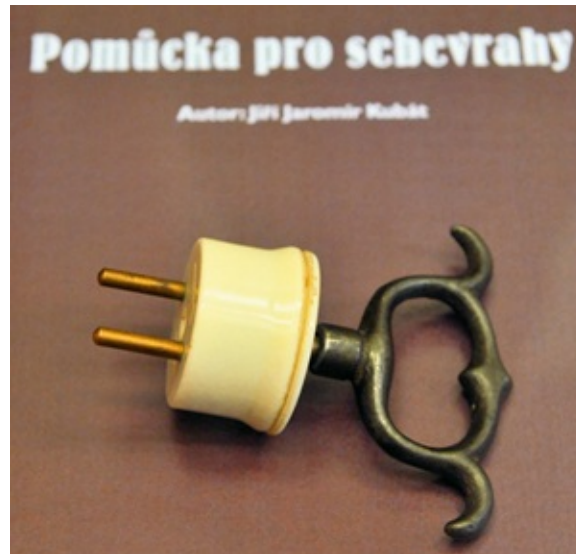
Wystawa w Narodowym pokazywała ułamek twórczości Cimrmana – wynalazki. Wiele z nich współcześni czescy inżynierowie odtworzyli na podstawie szkiców, które odnajdowano przypadkiem od 1965 roku zamurwane w ścianach.

Kiedy usiłowałem wejść na tę wystawę, musiałem stoczyć bój z tłumem. Szczerze mówiąc, udało mi się włożyć głowę między ściśnięte ciała Brytyjki i Francuza i zobaczyć przez chwilę jedno z dzieł. Była to genialna wprost wtyczka do prądu. (Wielu cimrmanologów dowodzi, że Jára Cimrman pomógł Edisonowi wynaleźć żarówkę; inni, choćby polski znawca J.C. Paweł Leszczyński, przychylają się do wersji, że Czech na zlecenie Edisona wyrobił gwint do żarówki; z tego powodu powszechnie na żarówki mówiono w Czechosłowacji „jarówki”). Genialna wtyczka, którą zobaczyłem



w muzeum, przeznaczona jest dla samobójców. Zamiast kabla ma rączkę z metalu, gwarantuje więc natychmiastową śmierć.

Wygląda tak:



[Źródło: CTK Photo/Michal Dolezal]

Mało kto wie, że Jára Cimrman był pionierem internetu. Kiedy w 1889 roku Amerykanin Strowger wynalazł centralę telefoniczną, Cimrman niewiele później kupił tani namiot cyrkowy, który przemienił w naukowe centrum telekomunikacyjne. Zatrudnił do tego 12 emerytowanych profesorów szkół średnich. Każdego z nich posadził w namiocie przy telefonie i płacił za odpowiadanie dzwoniącym na pytania z jego dziedziny. Namiot działał cztery lata, do momentu, aż siedmiu profesorów zaatakował wirus.

Jára Cimrman – wynalazca, dramaturg, eksperymentator teatru, kompozytor, dentysta, filozof, narciarz, globtroter (zdobył biegun północny), przyjaciel i nauczyciel Alberta Einsteina – w Polsce nie jest szeroko znany.

Zanim postanowiłem przełamać polskie milczenie na jego temat, chciałem zorientować się, dlaczego nasi bohemiści nigdy nie poświęcili mu popularyzatorskiego studium. Rozmawiałem o tym z wieloma Czechami, którzy byli zgodni: zazdrość. Zresztą, dowodzili, zjada ona też wiele innych narodów. Kiedy nieprzygotowany odbiorca zetknie się ze spuścizną Cimrmana, przeżywa szok, a potem falę zawiści. Na przykład wielu

powątpiewa w zdobycie przez Cimrmana bieguna północnego: twierdzą, że uciekając przed wygłodniałym plemieniem Mlasków, ominął biegun o siedem metrów. Trudno chyba im pogodzić się z tym, że Czesi – ten niezbyt liczny naród – wydali na świat kogoś, kto przygniata swoim dorobkiem najzdolniejszych Polaków, Niemców czy Rosjan.

À propos tych ostatnich – zauważyłem, że w kanonicznej monografii o Antonim Czechowie autorstwa René Śliwowskiego nie ma informacji (wypadła celowo?) o znamienym spotkaniu obu twórców, dzięki któremu Czechow napisał „Trzy siostry”

Było tak: Czechow siedział w swojej altanie i pisał. – Antoni Pawłowiczu, a co to piszecie? – zagadnął Jára Cimrman, który właśnie przechodził obok. – „Dwie siostry” – odpowiedział pisarz. – Nie za mało? – spytał geniusz i poszedł dalej.

Zacznijmy jednak od życiorysu.

Jára Cimrman urodził się w Wiedniu, w latach 1840–1893, jako syn czeskiego krawca Leopolda Cimrmana i austriackiej aktorki Marlen Jelinek-Cimrman (konflikt rodziców spowodował, że chodził jednocześnie do czeskiej i niemieckiej szkoły).

Sam wybrał narodowość czeską i z nią się utożsamiał. Jako genialnie piszące dziecko wysyłał listy protestacyjne do zaborcy, czyli cesarza monarchii habsburskiej Franciszka Józefa. Cesarz jednak nigdy na nie nie odpowiedział. Prawdopodobnie dlatego, że mały Jára prosił go o to, żeby umarł lub abdykował w jakimś łatwym do zapamiętania roku.

W 2008 r. odnalazła się ostatnia sztuka patriotyczna Cimrmana. Podczas likwidacji cukrowni w Dymokurach, gdzie Cimrman przez pewien czas był nauczycielem w szkole podstawowej, znaleziono rękopis. Tekst nosi tytuł „Czeskie niebo”, bo właśnie w niebie zbiera się senat złożony z największych postaci czeskiej historii. „Ograniczenie produkcji cukru w Republice Czeskiej przyniosło przynajmniej jeden słodki efekt” – pisała prasa. W uwagach dla reżysera Cimrman pisze wprost, że aby odciągnąć uwagę od antyhabsburskiej wymowy sztuki, reżyserzy powinni rozważyć wystawianie jej pod tytułem „Chwała cesarzowi!”

Mieszkańcy Dymokur są zaś dumni z pomocy, jaką dramaturg od nich

otrzymał. Otóż żeby mieć 27 kopii sztuki naraz, Cimrman dyktował ją wszystkim 27 uczniom. Jeszcze do niedawna żyli ostatni, którzy chwalili się, że byli tzw. żywą kopiarką Cimrmana.

Ojciec Járy, czeski patriota, pochodził z Liptakova i przez całe życie nie mógł o tym zapomnieć. Zygmunta Freud, który szył w jego wiedeńskiej pracowni zimowe palto, zdiagnozował u Leopolda nerwicę natręctw, a właściwie jej odmianę, którą wprowadził potem do nauki jako telepatryotyzm. Krawiec podczas szycia miał przywidzenia, że jest małym chłopcem i w rodzinnym Liptakovie próbuje cukierków z miodu. Wkładał wtedy bezwiednie do ust metalowe guziki, po czym ssał je i połykał. Jego organizm nie umiał ich strawić, w rezultacie usunięto mu operacyjnie 87 guzików. (Po pozbawieniu żołądka ciężaru ojciec nabył obsesji, że jest za lekki i uleci w powietrze; z tego problemu także leczył go Freud).

Wróćmy jednak do rozrzutu lat urodzenia Járy Cimrmana. Polski badacz Paweł Leszczyński skłania się do teorii, że wynika on z manii geniusza. „Jedną z jego obsesji – pisze Leszczyński za cimrmanologami czeskimi – było nieustanne niszczenie i fałszowanie jakichkolwiek informacji na swój temat, począwszy od fotografii, a skończywszy na oficjalnych dokumentach. Cimrman chciał w ten sposób zapobiec tworzeniu swojej legendy, uznając przede wszystkim wagę czynów, a nie suchych faktów i dat”.

Prawdopodobnie zacieranie śladów doprowadziło do tego, że nie jest znany niemal żaden wizerunek Járy Cimrmana. Istnieje jego autopopiersie z kamienia, na którym zanikły już rysy twarzy, ponieważ przez dziesiątki lat rzeźba służyła jako manekin w zakładzie kapeluszniczym. Na popiersie wkładano filcowe kapelusze i formowano je gorącą parą.



*[Źródło: archiwum CPress]*

Zachowało się za to jedno jedyne zdjęcie przyszłego geniusza – ma na nim około roku.

Widzimy go tu z siostrą bliźniaczką, ale, niestety, nie wiadomo, które z dzieci to Jára.

Zauważmy, że jedno z nich unosi lewą dłoń z przegiętym nadgarstkiem – i na tej podstawie sądzi się, że jest to dziewczynka. Niemniej kiedy pojawiła się pogłoska, że Jára Cimrman był także homoseksualistą, uznaje się możliwość, że dziecko z przegiętym nadgarstkiem jest płci męskiej.

Sporo pisało się o traumie, którą Jára przeżył w młodości. Rodzice do 16. roku życia ukrywali przed nim, że jest chłopcem, bo chcieli, żeby donosił ubrania po starszej siostrze.

Wracając do dat urodzenia. Istnieje też inna teoria. Dzięki niej w Czechach przez wiele lat obchodzono setną rocznicę urodzin geniusza. Do tej wersji skłania się polska badaczka Magdalena Domaradzka. Oto fragment wykładu na temat Cimrmana w Pradze, w 1992 roku, jaki Domaradzka cytuje w swojej pracy:

„Również w tym roku obchodzimy setną rocznicę urodzin Járy Cimrmana. Dzięki proboszczowi IV parafii w Wiedniu Franzowi Huschkowi, który większości zapisów w księgach dokonywał w stanie nietrzeźwym, nie da się z pewnością powiedzieć, czy małżonkom Marlenie i Leopoldowi

Cimrmanom urodził się synek mroźnej nocy w lutym roku 1857, 1864, 1867, czy 1892. Zapisy sugerują nawet rok 1893. A więc i w przysłym roku minie 100 lat od dnia jego narodzin”

Nie wiadomo, kiedy Cimrman umarł. Przyjmuje się, że zniknął w pewnym momencie, ale nikt nie wie, w jaki sposób, kiedy i gdzie.

Po sensacyjnym odnalezieniu jego spuścizny w 1966 roku (teoretyk muzyki dr Hedvabný chciał zbudować w swoim domu w Liptakovie kominek i znalazł w ścianie skrzynię z dramatami, partyturami i szkicami Cimrmana) wystawiono pierwszą sztukę „Akt”. Od razu było wiadomo, że jest to czeski dramaturg wszech czasów. Najlepiej wyraził to scenarzysta i aktor „Butelek zwrotnych” i „Koli” Zdeněk Svěrák: „Można w to wątpić. Można się z tym nie zgadzać, ale to jedyne, co przeciwko temu da się zrobić”

Od 1992 roku działa w Pradze Teatr Járy Cimrmana na Žižkowie ([www.zdjc.cz](http://www.zdjc.cz)), który wystawia 15 z 29 odnalezionych sztuk mistrza. Kolejki po bilety ustawiają się tam od siódmej rano. W ciągu dziesięciu lat udało mi się obejrzeć tylko jedno przedstawienie, co – jak mnie przekonywała jedna z bojowniczek o bilety – i tak jest sukcesem.

Ponieważ nie wiadomo, od kiedy Cimrman nie żyje, można założyć, że przez nikogo nierozpoznany mógł widzieć pierwsze wystawienia swoich sztuk w komunistycznej Czechosłowacji.

Od czasu kiedy po raz pierwszy publicznie zaprezentowano dokonania czeskiego geniusza (w słynnym programie radiowym nadawanym na żywo z bezalkoholowej winiarni Pod Pajakiem w Pradze), jego sztuki stały się modne i są modne do dzisiaj. W Polsce przez ostatnich 20 lat nie pisało i nie mówiło się o tym za wiele ze względu na estymę, jaką cieszy się w naszych elitach intelektualnych dramaturg Václav Havel. Dramaturgia Cimrmana to teatr między operetką a Ibsenem. Ktoś nazwał jego sztuki „bajkami deformowanymi przez logikę i doświadczenie dorosłych”. Ma na koncie więcej różnorodnych dokonań dramaturgicznych niż Havel, bo i monumentalne dzieła historyczne, i farsy, i musicale.

Jedna ze sztuk świadczy – zdaniem znawców – o tym, że Jára Cimrman dożył jednak sędziwego wieku. W dramacie „Śliwka” – z podtytułem „Sceniczny sklerotykon” – większość postaci to ludzie bardzo starzy, dialogi

są po raz pierwszy rwane i niedokończone, jakby opuszczały fabularne koryto rzeki, tworząc ślepe laguny, z których nie ma już powrotu. Wszyscy są zgodni, że tylko bardzo dojrzały twórca mógł tak idealnie pokazać, jakie piętno starość odciska na mózgu. Cimrman przedstawia dwie komplementarne wady umysłu starego człowieka: nie ma on już zdolności utrzymania myśli i za nic nie opuści tej myśli, którą ma.

Obserwując potencjał intelektualny aktorów, Cimrman stworzył słynny w Czechach i Austrii Dekalog Aktora. Oto pierwsze cztery przykazania:

1. Pamiętaj, że na scenie nazywasz się inaczej niż w życiu. Dobrze jest znać imiona pozostałych postaci.
2. Emocje wyrażaj raczej tyłem do publiczności. I śmiech, i płacz najlepiej wyrazisz ruchem ramion.
3. Za przedmioty rzucone na scenę nie dziękuj.
4. Przy wypowiedziach suflera nie powtarzaj wszystkich zdań, niektóre są dla twoich kolegów.

Jako wizjoner teatru Jára Cimrman doprowadził do najciekawszego eksperymentu w teatrze europejskim I połowy XX wieku. (Streszczam za doc. Jiřim Šebánkiem, który omawiał go na IV Salonie Járy Cimrmana w 1970 r.). Czech miał ambicję pokazać w teatrze monumentalny kalejdoskop historii, zaczynający się od bitwy pod Termopilami, z powstaniem bokserów w Chinach na finał. Widowisko usytuował w amfiteatrze o długości ośmiu kilometrów. Tak wielkiej sceny widz nie mógł zobaczyć nawet przy użyciu lornetki, dlatego za zezwoleniem ck kolei scenografię przedstawienia ustawił wzdłuż traktacji między Třeřeticami a Vrkatami, gdzie pociągi zwalniały bieg, a pasażerowie z okien i dachów wagonów obserwowali akcję. Kiedy pociąg wracał, widzowie mieli wyjątkową możliwość oglądania przedstawienia od końca do początku.

Ówczesna prasa pisze, że w trakcie najbardziej sensacyjnych scen kolej odnotowała wiele przypadków użycia hamulców bezpieczeństwa i z tego powodu szybko wycofała się z koprodukcji.





Cimrman w latach 90. XIX wieku zbudował od podstaw teatr lalkowy w Paragwaju. Przy tej okazji wynalazł tzw. ożywione drewno.

Podczas swojej pracy politycznej z paragwajską biedotą napotkał problem, jak wytłumaczyć jej pojęcie „rząd marionetkowy”. Zaczął więc rzeźbić lalki z drewna. Cóż, lekcje Cimrmana nie satysfakcjonowały naiwnych widzów: „Ministrowie przecież nie są tak mali!” – krzyčeli. Z dnia na dzień rzeźbił więc większe lalki, aż w końcu kupił w fabryce odzieży Peréz kilka manekinów wystawowych. Biedota przywitała te figury z zachwytem. Niestety, po kilku przedstawieniach „Marionetkowej junty” on i jego pomocnicy byli tak wyczerpani poruszaniem manekinów, że doszło do przełomu. Przełom ów wstrząsnął teatrem lalkowym jako takim. Otóż Cimrman zastąpił manekiny żywymi aktorami i właśnie na nich zaczęto mówić „ożywione drewno”. Aktorzy ci byli bez talentu, choć prowadzeni linkami za rękę, poruszali się także o własnych siłach. Dlatego też Cimrman mógł zastąpić prowadzących lalki półprowadzącymi, którzy pracowali



za połowę pensji.

Od lat co jakiś czas odnajdują się nowe dzieła Cimirmana i warto zauważyć, że jeśli teksty dramatyczne mają tytuły przeciętne, bez polotu, to nazwy jego utworów muzycznych zawsze skrzą się od humoru, np. „Jazzuici” (chorał), „Fokstrotyl” (fokstrot), „Fałszywa polędwica” (uwertura dysharmoniczna), „Majonez” (polonez), „Przenikliwy biskopt” (sonata na dwa flety i piszczałkę).

Pojechałem niedawno do Pragi na wykład o dokonaniach operowych Járy Cimirmana.

Do jego pierwszego kontaktu ze światem opery doszło w 1882 roku, kiedy dla Theater an der Wien przygotował fortepianową windę. Skrócił tym i ułatwił sześciu tragarzom codzienne transportowanie fortepianu z sali prób w suterenie na scenę i z powrotem po schodach. Strasznie niszczyło to instrument. Rok później napisał już dla tego teatru pierwszy kuplet.

Operę „Proso” stworzył na polu pod Warszawą. We wrześniu 1895 roku ze swoim przyjacielem hrabią Ferdynandem Zeppelinem wylecieli sterowcem do Brukseli. Jednak nieprzyjazny wiatr zepchnął ich aż do Polski. Zeppelin uniknął zderzenia z drzewami, lądując na świeżym ściernisku. Przez to płaszcz sterowca uległ wielokrotnej perforacji. Ponieważ przy wychodzeniu z kosza Jára zwichnął nogę, hrabia zalepiał dziury, a Jára Cimirman wykorzystał przerwę do napisania siedmiogodzinnego fresku operowego „Proso”, który zaczyna się od sceny, kiedy pod Glasgow na pustkowiu, w biednej serbskiej rodzinie, rodzi się bogaty hrabia Nikolić.

Dr Jan Hraběta przedstawił podczas wykładu specyficzny Cimirmanowski sposób zapisu nut. Otóż kompozytor nie używał papieru nutowego. Przez pewien czas interpretowano to wysoką ceną liniowanego papieru w tamtych czasach. Jára kreślił na papierze gładkim, a pięciolinię miał wyrysowaną na ruchomej podkładce, którą kładł pod arkusz. Z biegiem czasu znawcy ustalili, że powodem nie była wysoka cena, ale kwestia transpozycji. Jednym prostym ruchem przesuwiał podkładkę w dół lub w górę i już miał utwór przetransponowany, co ułatwiało pracę muzykom.

Cimirman, w odróżnieniu od wszystkich ówczesnych kompozytorów, nie wykorzystywał w uwerturach ani pobocznych, ani tym bardziej głównych

motywów melodycznych. Na przykład w uwerturze do operetki „Knajpa na polance” nie znajdziemy ani jednej muzycznej myśli. Cimrman pracuje tu wyłącznie z muzycznymi pauzami. Tak więc stwarza atmosferę pełną napięcia; stopniuje ją nieustannym przeplataniem elementu oczekiwania i elementu rozczarowania. Jest to przykład jego sławnych „kompozycji frustracyjnych”.

Po takiej uwerturze niezadowolony słuchacz tym łapczywiej wita pełne muzycznie części samej operetki.

W tym kontekście błędnie późniejsze (o wiele dekad!) dokonanie Johna Cage’a, który w 1952 roku stworzył sławny utwór 4’33” znany jako „cztery i pół minuty ciszy” – utwór bez jednego dźwięku.

Nie wszystkie pomysły czeskiego geniusza były jednak udane. Jako librecista chciał osiągnąć doskonałość absolutną, dlatego niepokoiła go kwestia rymu. Rymy dokładne, takie jak „życie – mycie” czy „brała – dała”, uznawał za półrymy.

Słuchacz – według Cimrmana – miał prawo do całkowitego współbrzmienia. To doprowadziło kompozytora do teorii rymu absolutnego. Jej fundamentem jest twierdzenie, że rym absolutny można stworzyć wyłącznie przez powtórzenie słowa. Jak w jego operze „Janowice Węglarzowe”:

*Kochałem dziewczę piękne  
Oczy miała bardzo piękne  
Włosy miała bardzo jasne  
Co dla ludzi było jasne  
Kiedy rano się obudziła  
Wtedy się już obudziła*

Cóż, wymagający słuchacz – jak zauważył prof. Pavel Vondruška – nie obroni się przed poczuciem, że doskonałość rymu osiągnięto tu ze szkodą dla treści. Za to niewątpliwym wkładem Járy Cimrmana w historię fotografii światowej jest absolutnie oryginalna idea zdjęcia, na którym nic nie widać.



*[Źródło: archiwum CPress]*

Pecha miał wynalazek zgłoszony w londyńskim Patent Office – bar dla psów. Bary te produkowała firma kamieniarska Stones and Sons. W wyniku złośliwości przechodniów szybko zostały usunięte. Ludzie bowiem w nocy masowo nalewali do nich alkohol.

Miejsce na tę skromną prezentację geniusza wszech czasów się kończy. Odnotuję jeszcze, że nie bez powodu odsłonięto niedawno w Sudetach, w miasteczku Tnavałd pomnik Cimrmana, na którym nie można go zobaczyć.

Jest to bowiem „Jára Cimrman we mgle”

## **Odsłona 2:**

### **Jára Cimrman w realu**

Nie ma Czecha, który by nie wiedział, kim jest Jára Cimrman, chociaż nie istnieje i nigdy nie istniał. To geniusz wymyślony. Jednak naród czeski otacza go kultem.

Oto sześć elementów, bez których trudno zrozumieć ten fenomen:

Po pierwsze: garść prawdy.

Teatr Járy Cimrmana na Žižkowie rzeczywiście działa, a kolejki po bilety rzeczywiście ustawiają się od rana. Wystawa w Muzeum Narodowym naprawdę się odbyła i naprawdę została otwarta w dzień patrona Czech. Patriotyczny spektakl „Czeskie niebo” (rękopis rzekomo znaleziony

w cukrowni) miał premierę dokładnie w 90. rocznicę powstania Czechosłowacji, w 2008 roku. W 2009 roku ukazało się pełne wydanie wszystkich dramatów Járy Cimrmana i wykładów o nim (z którego zaczerpnąłem część powyższych informacji). W 2010 roku bardzo efektownie (i drogo) wydano faksymilia odnalezionych dokumentów i zapisków geniusza.

Cimrman ma swoje ulice w Brnie, w Ołomuńcu i w czterech innych miejscowościach. Jest też nabrzeże Járy Cimrmana w Lipniku, który w ogóle nie leży nad wodą.



W 2005 roku Czesi wybierali Największego Czecha w ogólnonarodowym konkursie na licencji BBC. Telewizjowcy mogli głosować, na kogo chcą. W półfinale okazało się, że wygrywa Jára Cimrman. Telewizja czeska wydała

oświadczenie, że zgodnie z zasadami konkursu nie może w nim startować osoba nieistniejąca. Liczba ataków, głosów krytycznych i listów, jakie musiała po tym na siebie przyjąć, była niespotykana. „Najważniejsze, że Jára Cimrman istnieje w naszych głowach” – pisali widzowie.

BBC Worldwide oznajmiło, że konkurs ma na celu dyskusję, co jest fundamentem wielkości i jak się do tego fundamentu ma spuścizna danego bohatera narodowego oraz jego cechy. A postać wymyślona nie ma własnych cech – ma tylko cechy, które ktoś dla niej wymyślił. Cimrmana usunięto więc z dalszej rywalizacji. (Konkurs wygrał cesarz Karol IV, który wygrał także plebiscyt niemiecki).

To naprawdę unikat – napisał w „Lidovych novinach” Vladimír Just, znany eseista i krytyk teatralny – modelem identyfikacyjnym z historii jest dla wielu Czechów mistyfikacja literacka.

– Największy Czech to fikcja – powtórzył zadowolony kioskarz, u którego kupowałem tę gazetę. – I co z tego? Zawsze, proszę pana, kluczyliśmy, szwejkowaliśmy. Cimrman jest dla nas dobry, bo nie musimy stykać się z prawdą. A upieranie się przy prawdzie od czasów Habsburgów nie wychodziło u nas nikomu na dobre.

Po drugie: pomysł.

„Oszustom”, czyli twórcom Járy Cimrmana, do głowy nie przyszło, że ich pomysł wytrzyma z sukcesem ponad 40 lat. Byli przekonani, że już druga sztuka, jaką napiszą w imieniu Cimrmana, będzie ostatnią. Kiedy w programie radiowym – podczas „transmisji” z nieistniejącej bezalkoholowej winiarni Pod Pająkiem w 1966 roku – ogłosili, że oto odnaleźli pozostałości po wielkim geniuszu, wielu dało się nabrać.

Ladislav Smoljak (zmarły niedawno reżyser filmowy i aktor, obok Zdenka Svěráka jeden z głównych twórców fenomenu) tłumaczył, że wszystkie żarty i informacje o Cimrmanie powinny być zawsze balansowaniem na granicy wiarygodności.

Dowcipy te nazywał dowcipami z opóźnioną eksplozją. Niewinne zdania, które „udają zdania normalne, wślizgują się do głowy widza i eksplodują dopiero w nim”. Czytamy o geniuszu i trzeba sekundy, dwóch, żebyśmy złapali, że przecież w biednej serbskiej rodzinie nie może urodzić się bogaty



hrabia Nikolić.

Jiří Šebánek, jeden ze współpomysłodawców, którego drogi ze Smoljakiem i Svěrákiem rozeszły się dość szybko, preferował – jak mówił Smoljak – zbyt czarny humor. Rozgłaszał na przykład, że geniusz powoli pozbawiał się swoich organów wewnętrznych i w końcu chodził po świecie jako pusta cielesna skrzynka. Zaś Cimrman, uważali koledzy, nie może przy pierwszym wrażeniu wydawać się nieprawdopodobny.

Po trzecie: mistyfikacja jako gatunek narodowy (użyję pojęcia krytyka Justa).

W 2009 roku rzeźbiarz David Černý wystawił w Brukseli głośną instalację „Entropa” na temat narodowych stereotypów w Europie. Rząd czeski zapłacił za udział 27 europejskich artystów w tym projekcie, ale szybko okazało się, że całe dzieło powstało w pracowni Czecha, zaś twórcy, ich życiorysy i strony internetowe zostały sfingowane.

W 2003 roku dwóch filmowców stworzyło wielką kampanię reklamową nieistniejącego supermarketu Czeski Sen i nakręciło antykonsumpcjonistyczny w swojej wymowie film o Czechach, którzy dali się nabrać na reklamę.

W 1911 roku Jaroslav Hašek (pięć lat przed powstaniem dadaizmu) stworzył fikcyjną Partię Umiarkowanego Postępu (w Granicach Prawa). Partia miała udawane mityngi wyborcze i fikcyjnych kandydatów. Przemówienia, odezwy i dokumenty partii to cały tom książki, z rozprawą przewodniczącego Haška „Największy pisarz czeski Jaroslav Hašek” na czele.

W 1817 r. czeski badacz Václav Hanka sfabrykował, a potem „znalazł” w mieście Dwór Królowej nad Łabą rękopis z XII wieku. Opiewano w nim wierszem zwycięstwa Czechów nad różnymi najeźdźcami. (Potem cudownie znalazł się jeszcze następny rękopis). Oba posłużyły do budowania tożsamości nie tylko czeskiej, lecz także słowiańskiej, miały być dowodem, że naród czeski wcześniej osiągnął wysoki stopień kulturowego i literackiego rozwoju. Ponad sto lat trwała walka przeciwników i zwolenników rękopisów. Kto ośmielił się uznać je za falsyfikat, natychmiast był izolowany społecznie, opuszczony i szykanowany. Anatema spotkała sławnego czeskiego księdza, patriotę i językoznawcę Josefa Dobrovskiego.

Napisał bowiem: „Nie mamy prawa szczyścić się skłamaną historią. Wystarczy nam to, co w niej jest prawdziwe. Kłamstwa zostawmy tym, którzy oprócz nich nie mają nic innego”

Po czwarte: popyt.

W pierwszym zdaniu ważnej czeskiej książki eseisty Josefa Jedlički „Czeskie typy albo popyt na naszego bohatera” (1992) czytamy, że czeska literatura nie ma żadnego bohatera z prawdziwego zdarzenia. Można ją przeorać na wszystkie sposoby, a nikogo w typie Rolanda, Parsifala, Robin Hooda, Tarasa Bulby czy Don Kichota się nie znajdzie. Oczywiście istniał św. Wacław, Hus czy Žižka, ale są to postacie historyczne, a szukamy kogoś, w kogo można wlać standardowe wspólne wyobrażenie bohatera.

Cimrman jest więc, być może, wynikiem frustracji.

Po piąte: znaczenie Járy Cimrmana.

Celnie wyraziła to najbardziej znana w świecie czeska dokumentalistka Helena Třeštíková.

Jako świeża absolwentka szkoły średniej z komunistycznej Czechosłowacji wyjechała do luksusowej willi na przedmieściach Bonn jako opiekunka do dzieci. Przeżyła szok, gdy po raz pierwszy w życiu zobaczyła zmywarę do naczyń. Chciała swoim gospodarzom opowiedzieć o życiu kulturalnym Pragi, o filmach i spektaklach.

„Pierwsze nieporozumienie nastąpiło – napisała niedawno w swoim blogu – kiedy usiłowałam opowiedzieć o niealkoholowej winiarni Pod Pająkiem i objawieniu naszego narodowego geniusza Járy Cimrmana. Nie mogli zrozumieć, dlaczego taką osobę adorujemy, podziwiamy i z czego się śmiejemy. Wtedy właśnie poczułam swoją samotność. Po pewnym czasie doszła niechęć do miejsca, w którym się znajdowałam. Żadna zmywarka nie mogła wypełnić poczucia pustki, nudy, braku inspiracji i nieporozumienia”





Do tego przyszedł sierpień 1968 roku, wojska Układu Warszawskiego najechały Czechosłowację. Gospodarze zaproponowali, żeby Helena została w Niemczech na stałe. „Nie, stokroć nie – mówiłam sobie. W kraju, gdzie do każdego dania musi być inna serweta, gdzie myśli się, że największym przejawem ludzkiego ducha jest auto marki Mercedes, a nie rozumie się Cimrmana, żyć nie będę! W luksusowej kuchni oglądałam telewizję i widziałam radzieckie czołgi na ulicach Pragi. Za każdą cenę do domu! Mogę z czystym sumieniem potwierdzić, że geniusz Jára Cimrmana swoim magnetyzmem przyciągnął mnie z powrotem do ojczyzny”

Niedawno korespondent czeskiego radia w Warszawie Petr Vavrouška spytał, dlaczego tyle mówimy w Polsce o patriotyzmie. Obserwował ubiegłoroczne kampanie wyborcze w Czechach i w Polsce. – W Polsce – powiedział – każdy polityk z każdej opcji mówił o patriotyzmie. W Czechach – żaden. Czego wy, Polacy, tak się boicie?

Być może, proszę państwa, uwielbienie dla Jára Cimrmana – w kulturze,

gdzie tak mało mówi się o miłości do ojczyzny i niechętnie to uczucie nazywa – to forma patriotyzmu.

Po szóste: jedna odpowiedź.

Pytam Czechów o ich geniusza przy różnych okazjach. – Jak możecie wierzyć w kogoś, kto nie istnieje?

– Ale to zupełnie tak jak u was w katolickiej Polsce, prawda?

© copyright by Agora SA 2012

KOREKTA: Jacek Bławdziewicz, Justyna Wodzisławska

FOTOEDYCJA: Agnieszka Żelazko

PRZYGOTOWANIE ZDJĘĆ: Łukasz Irzyk

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Urszula Pągowska – KreacjaPro, dyrektor artystyczny – Andrzej Pągowski

OPRACOWANIE GRAFICZNE: Elżbieta Wastkowska

PRODUCENCI WYDAWNICZY: Małgorzata Skowrońska, Robert Kijak

KOORDYNACJA PROJEKTU: Magdalena Kosińska

Wydanie I elektroniczne

ISBN 978-832-680-845-6

WYDAWCA

Agora SA

ul. Czerska 8/10

00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji

